

Świątologia



Świetologia

Świętologia

WYDAWNICTWO
IX

Kraków 2020

Tytuł: *Świętologia*

Copyright

© 2020 by Lech Baczyński, Agnieszka Bar, Paweł Dybała,
Izabela Grabda, Katarzyna Ophelia Koćma, Paweł Majka,
Monika Nowak, Aneta Pazdan, Krzysztof Rewiuk, Artur Siwek,
Michał Sosiński, Michał Tomczyk, Carmen Widomska, Marek
Wygnyany, Ewa Zwolińska

© 2020 by Wydawnictwo IX

Copyright for the cover art

© 2020 Ewa Zwolińska

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja: Katarzyna Koćma

Korekta: Anna Samek, Gabriela Tyńska, Michał Sosiński

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Ewa Zwolińska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka jest wydawnictwem darmowym, opublikowanym na licencji Creative Commons (CC BY-NC-ND 4.0). Utwór lub jego fragmenty można kopiować i rozpowszechniać w dowolnym medium i formacie z uwzględnieniem autorstwa oraz bez wprowadzenia żadnych zmian w jego oryginalnej treści. Utworu nie można używać w celach komercyjnych i zarobkowych.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-960071-4-8

SPIS TREŚCI

<i>Wstęp do świętologii</i> , Paweł Majka	9
<i>Letzte Weihnacht</i> , Paweł Dybała	27
<i>Spełnione marzenie</i> , Izabela Grabda	43
<i>Czy wierzysz w cuda?</i> , Aneta Pazdan	51
<i>Dzień wolny</i> , Carmen Widomska	61
<i>Co chciałbyś zmienić?</i> , Artur Siwek	73
<i>Pluszowy renifer</i> , Michał Sosiński	85
<i>Świąteczna Lista Przebojów</i> , Ewa Zwolińska	93
<i>Last Christmas</i> , Lech Baczyński	115
<i>Agloe. Świąteczny transpunk</i> , Marek Wygnany	127
<i>Transformacja Jessiego Lorentza</i> , Krzysztof Rewiuk	139
<i>Ta magiczna noc</i> , Michał „Skolioty” Tomczyk	141
<i>Wspomnienie szczęśliwych dni</i> , Monika Nowak	147
<i>Siódme Święta Karolinki</i> , Agnieszka Bar	159
<i>Nieproszony gość</i> , Katarzyna Ophelia Koćma	163
<i>Noty o Autorach</i>	175

Paweł Majka

Wstęp do *Wstępu do świętologii*

Stosunkowo krótki tekst nieznanego autorstwa *Wstęp do świętologii*, dołączony do jedyne go egzemplarza, narobił swego czasu¹ nieco zamieszania tak w świecie świętologicznym, jak i teoriospiskowym. Nie stało się to za sprawą wartości merytorycznej samego *Wstępu...* (dość mizernej zresztą, nie miejsce to jednak, by zęcać się nad mizerią owego chaotycznego wprowadzenia, dość wspomnieć o pomieszaniu źródeł i dowolnym traktowaniu spuścizny znakomitych świętologów), lecz z powodu dopisków odnalezionych na jedynym istniejącym egzemplarzu, jeszcze około dekadę temu dostępnym w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

Anonimowi czytelnicy, nie mniej niż piszący te słowa oburzeni swobodnym podejściem do metodologii świętologicznej, komentowali bowiem kontrowersyjne (delikatnie rzecz ujmując) fragmenty *Wstępu...* Skąd wiemy, że było ich kilku? Po pierwsze, odnosili

¹ (RED) Dokładniej: pomiędzy 8 czerwca 1979 a 13 listopada 1999 roku.

się nie tylko do tekstu, ale i wzajemnie do swoich komentarzy. Po drugie, zadbali tak o własną wygodę, jak i wygodę tych, którzy nadejdą po nich i stosowali odmienne kolory ołówków, którymi nanosili uwagi.

Piszemy o nich: „anonimowi”, a przecież w niektórych przypadkach można się domyślać, kim byli. Ponieważ wynika to z treści samych dopisów, odgadywanie tożsamości autorów pozostawiamy czytelnikowi. To doprawdy fascynujące, że ludzie, o których wspomina *Wstęp*... jako o bohaterach świętologii, najwyraźniej nie tylko czytali to wołające o pomstę do nieba opracowanie, ale jeszcze mijali się w czytelnicy tej samej biblioteki! A mówimy przecież o osobach, które autor *Wstępu*... uważał za zaginione bądź wręcz martwe (gwoli uczciwości należy przyznać, że nie tylko on, ale wielu innych świętologów, a nawet policja).

Dla wygody czytelnika zachowaliśmy w niniejszym wydaniu kolory, jakimi posługiwali się komentatorzy, a nawet zastosowaliśmy dla każdego z nich odmienne czcionki. Dla jeszcze większej wygody, zdając sobie sprawę, że niektórzy z naszych czytelników mogą cierpieć na daltonizm, oznaczyliśmy też dopiski skrótami: AN1 (Anonim 1) itd. Z kolei przypisy redakcyjne (nasze) oznaczamy skrótem: RED. Na niebiesko.

***Wstęp do świętologii –
wydanie 12., douzupełnione***

Każdy z nas przynajmniej raz w życiu spotkał się z terminem: „*Świętologia*” i zapewne z tego powodu wydaje się nam, że doskonale rozumiemy, co się pod nim kryje. *Świętologię* wchłonął język potoczny, stała się przez to własnością wspólną i, podobnie jak niegdyś miało to miejsce z mitem, oderwała się od korzeni, a nawet zmieniła znaczenie w powszechnym odbiorze i użyciu. I tak oto znaleźliśmy się w sytuacji, w której o *Świętologii* mówią wszyscy, a każdy jakby w innym języku. W ten sposób *Świętologia* i *Świętolodzy* padli ofiarą *vytváreníubliny* (zwanego też często: *blaseerzeugen*), zjawiska, które już w 1874 roku opisał niezapomniany i niezastąpiony Sławoj Podceňováník, nianiek Edmunda Husserla. *Zvytváře-*

nibublinowaniśmy wszyscy, pogrążeni w *masovévnímáníu* (znów nieocenyony wkład Podceňovánika ze znanej każdemu świętologowi fundamentalnej pracy: *Spánek anděl spánek na redukci sen*).

Słowa powyższe, a także poniższe kieruję oczywiście do Ciebie, nieco zagubiony czytelniku, może przypadkowy, może zaciekawiony, a może rozbawiony. Do Ciebie, potoczny *masovévnímáníony vytvářeníbublinowcu*, nie zaś do moich kolegów świętologów, im bowiem wszystkie opisane powyżej i poniżej fakty, wydarzenia i zmyślenia są doskonale znane.

Praca niniejsza nie rości sobie ambicji do bycia dziełem naukowym, lecz jest w zamierzeniu dziełkiem lekkim, wprowadzającym zaledwie w zawiłe ścieżki świętologiczne; mającym przybliżyć owo Nieznane, za którym podążali od dekad badacze, często tracąc przy tym zdrowie, życie, a bywało, że zmysły oraz wiarę w Metodę.

A jednak nawet ci, którzy przepadli, owa niezwykła armia *prosvećeni luďaci*, jak pisał o nich Jakub Trbasek, uważany za ojca serbskiej świętologii, podarowali światło nam wszystkim i przyczynili się równocześnie do pogłębienia wiedzy świętologicznej, jak i do towarzyszącego jej od za-

wsze kompletnego poplątania metod i terminów, wymieszania hipotez oraz umroczenia (*sähkökatkos*)².

Korzenie świętologii sięgają niebios, z nich bowiem wywodzi się wszystko, co święte³ ⁴. Tym samym za pierwszych świętologów można by uznać już pierwotnych kapłanów snujących opowieści o stworzeniu świata i bogach, którzy mieli w nim udział. Choć czytelnik spotka się z pewnością

² Termin wprowadzony przez profesora Hubertusa Hirvi, jednego z najznakomitszych fińskich świętologów, bez lęku badającego wątki świętologiczne w prozie Hansa Christiana Andersena, co zresztą ów niezrównany uczony przypłacił pochłonięciem przez *masentava pimennys*, zjawisko, które nie tylko odkrył, zbadał i nazwał, ale które też zgłębił ostatecznie, czyli dośmiertnie. Badania nieodżałowanego Hirvi podjęła następnie Anetta Pazzadani, współczesna włoska uczona, o której jeszcze wspomnimy w dalszej części opracowania.

³ Naturalnie nie według każdego ze świętologów, by przywołać tylko prace takich znakomitości, jak wspomniana wcześniej Pazzadani albo uczennica profesora Hirvi, Monika Uusi. Uczeni ci rozszerzają pojęcie „świętości” na byty pozaniebiańskie. Musimy przy tym zdawać sobie sprawę, że nie ma wśród nich zgody. O ile Uusi zwraca uwagę, że w kosmogoniach i mitach archetypicznych biorą udział nie tylko istoty niebiańskie, to Pazzadani skłania się do wręcz zaprzeczania świętości niebiańskiej i wyszukiwania dowodów na *maallinen ja salaperäinen*, o której to hipotezie wspominał już sam Hirvi. Tym samym Pazzadani zbliża się do wyznawców Michalizmu, o którym nie będziemy tu wiele pisać, ponieważ uważamy ów nurt za bzdurny i zabobonny, a – co więcej – oparty na zmyśleniach.

⁴ (AN1). Skandal! Ja przepraszam, ale pisać takie rzeczy w naukowym... Niby naukowym tekście! Przecież powinny istnieć jakieś zasady.

z twierdzeniami niektórych badaczy⁵, że świętologią można nazywać jedynie dokonania nowoczesnej nauki, a zatem oparte na falsyfikowalnych badaniach zastosowanych zgodnie z Metodą, to jednak postaramy się tu wykazać, że naprawdę nowoczesna świętologia sięga dalej i głębiej niż ów demonizowany i przeceniany rozum. Nie zdawajmy się jedynie na szkiełko i oko powiadam, za Paulem Dubois⁶ ⁷.

Jeśli zaczniemy, śladem Dubois, ale przecież także Italo Calvino, szukać świętologów wśród kapłanów, nie uchylimy się chyba przed hipotezą, iż znajdywać ich możemy także wśród poetów, dramaturgów i dalej – pisarzy, oni wszak są dziećmi kapłanów. Tak, jak nie byłoby dramaturgów bez Dionizji, tak nie byłoby poetów i pisarzy bez tych kapłanów, którzy nie

⁵ Np. prace Evy Z. Voleenskiej *Over de oorsprong van sneeuw op dennentakken* bądź *Alle fouten en vergissingen van Eva von Wolin*.

⁶ Nie do końca francuski badacz, który jako jeden z pierwszych zaproponował w ramach teorii naukowej odejście od teorii naukowej w celu naukowego stwierdzenia możliwości potencjalnej naukowości pewnych niezupełnie naukowych doświadczeń związanych z świętologią. Więcej o Dubois dalej.

⁷ (AN2) Ukłony, a nawet ukłoniki. To ja sobie pojadę na fioletowo. Przywiozłem z Petite Soruris des Champs taki zgrywny długopis wszystkobarwiący. A może raczej... wszystkiebarwiający. Ale zgadzam się, że skandal, a nawet gorzej niż skandal, bo błąd!

tylko przeprowadzali wiernych przez rytuały, ale i opisywali im ich znaczenie – a zatem i kształty świata.

By nie powoływać się tylko na autorytety ściśle świątologiczne, wspomnimy, że pisali na ten temat tacy tytani religioznawstwa, etnologii i zmyślonologii stosowanej, jak Gerardus van der Leeuw, Mircea Eliade czy Abumizydory Puduchmani. Nie sposób też zapomnieć⁸ o na póły legendarnej Ophelii^{9,10} ¹¹badaczce podpisującej swoje prace jedynie tak właśnie zapisywanym imieniem. Na póły legendarnej, choć bowiem istnieją świętolodzy, którzy ponoć mogli pochwalić się znajomością z nią, jak Pazzadani, opowiadająca, że siedziała jej na kolanach podczas pewnej imprezy w 1967, czy Izodyr Grabhkann, obecnie już ponad dziewięćdziesięcioletni uczo-ny, mający w swej karierze rolę guru w sekcje w Detroit. Niektórzy badacze twierdzą też, że o niej właśnie śpiewał Bob Dylan. Faktem jest, że

⁸ Choć wielu próbowało.

⁹ (AN3) Juppi duppi du!

¹⁰ (AN1) Za skandal uważam też, że jakieś, nie boję się użyć tego słowa, niedouczone matoly, bazgrzą po bibliotecznym egzemplarzach, pisząc jakieś brednie. I nic nie pomoże używanie kilku kolorów.

¹¹ (AN2) A jeśli to legendarna Ophie? Ona miała skłonność do kolorowego podśpiewywania. Jak wszyscy w tamtych latach, swoją drogą...

Ophelia, bez względu na to, czy była rzeczywistą osobą, czy też, jak utrzymuje np. komisarz Lech Szymborski¹², szalbierczą organizacją, pojawiła się właściwie znikąd w roku 1960, by zniknąć bez śladu na początku roku 1970. Pozostały po niej tylko notatki, wspomnienia innych osób oraz materiały ze śledztwa Szymborskiego. Świętologów jest więc niemal bez liku¹⁴ i trudno znaleźć temat, w którym by się ze sobą zgadzali. Dlatego nie ma sensu wypisywać wszystkich świętologicznych teorii i hipotez. Należy się skupić na tych, które uważam za słuszne JA.

Poeci i pisarze zatem jako świętolog-dzy. Pamiętajmy, że o świętach pisali tak filozofowie (np. Tomasz z Akwenu, Hubeliusz młodszy od Hubeliusza starszego), jak i etnografowie (np. Borys Uspieński, Michael Thomas), astrofizycy (Arthur Szürke), słowem przedstawiciele prawie wszystkich nauk. Podchodzili do świętologii od strony fizyki (Szürke), mistyki (Michał, twórca Mi-

¹² Świętolog amator, ale bardzo ważny dla tej nauki, z zawodu policjant, z przekonania też.

¹³ **(AN4) Przekonania nie mają tu nic do rzeczy. Istotna jest praca śledcza.**

¹⁴ Wedle danych na koniec roku 1996, dokładnie: 19 647, dane za Rocznik Statystyczny GUP, pierwszy kwartał 1997.

chalizmu¹⁵)¹⁶ ¹⁷ ¹⁸ ¹⁹, a nawet gramatyki jak Gabriela Tig Montekassińska. Jakkolwiek jednak wszyscy ci uczeni i odkrywcy poświęcili życie, by zba-

¹⁵ Choć ów wątek mistyczny nie znajduje zrozumienia w moich oczach, wspomnieć o nim, choćby tylko w przypisach, wypada. Michała, kapitana statku wielorybniczego „Fjell”, nie znamy z nazwiska, a jedynie z ostatniego sygnału, jaki wysłał: S.O.S. Przez niektórych zwany jest zatem Michałem Esoesem. W 1977 roku, wędrując szlakiem nie tyle wielorybów, co tajemniczych zaginionych notatek profesora Hirvi, Esoes zapragnął znaleźć zaginioną pod lodami Bieguna Północnego Wyspę Spełnionych Życzeń Wigilijnych, na której – wedle wątpliwych przekazów – średniowieczny lud Wikslówów, będących potomkami skandynawsko-słowiańskiej wyprawy naukowo-bojowej, założył w VII wieku n.e. osadę obchodzącą Święta Bożego Narodzenia przez wszystkie dni w roku. Stać miało się tak za sprawą kompletnego pogubienia w kalendarzu odkrywco-rozbitków, którzy, nie potrafiąc określić, jaki konkretnie przypada dzień, na wszelki wypadek obchodzili Święta permanentnie. Ich legendarna osada stała się swoistym „Eldorado” świętologów-mystyków, którzy szukają jej po dziś dzień.

¹⁶ **(AN4) Gwoli ścisłości, nie był twórcą, ale ojcem założycielem. Zresztą nieświadomym.**

¹⁷ (AN1) Gwoli ścisłości, to ja sobie wypraszam tę „nieświadomość”. Nie ma nic nieświadomego w porzuceniu zawodu wielorybnika i przekonaniu niemal całej załogi do wyruszenia na poszukiwania zaginionego miasta. ZAGINONEGO, podkreślam, a nie zmyślonego, wedle „wątpliwych przekazów”, jak pisze nieszanowny autor. Wspomina o niej już Plotyn Bardzo Młodszy, a zresztą istniały mówiące o niej przekazy skalldów, zapisy proboszcza z parafii Fitte Fierden z X wieku! To była świadoma wyprawa naukowa i odkrywcza! Autor *Wstępu...* oczywiście nic o Fitte Fierden nie wspomina, tak samo jak o Plotynie Bardzo Młodszym. Bo mu to nie pasuje do tezy.

¹⁸ (AN3) **Juppi duppi du!**

¹⁹ (AN1) No, to już przechodzi ludzkie pojęcie! Czy w tej bibliotece nikt nie pracuje i nie zwraca uwagi, że jakiś, nie boję się użyć tego słowa, imbecyl, bazgroli sobie w czytelnicy po książce?

dać nie tylko pochodzenie Świąt, czy to jako takich, czy konkretnie Świąt Bożego Narodzenia, związane z nimi rytuały i folklor, osadzenie w mitologiach, to jednak wszystkie te działania nie zdałyby się na nic, bo nie pomogłyby w uchwyceniu sedna Świąt!²⁰ ²¹ Sedno ich bowiem zawiera się tak w obyczajowości, w filozofii i religii (czy będziemy w jej przypadku uwzględniać kwestie organizacji życia religijnego, czy znacznie bardziej tajemnicze zagadnienia wiary), ale także uczuć i emocji! I tu właśnie niezbędne jest spojrzenie literackie, które sprawniej potrafi sięgać do naszych serc niż oko badacza!²² Literatura jest zresztą odważniejsza od nauki, pozwala szukać tam, gdzie nauka boi się sięgać²³.

²⁰ (AN3) JUPPI DUPPI DU!!!

²¹ (AN2) Kolega Zielony pewnie się ze mną nie zgodzi, ale komentarz osoby kolorowej (intuicja podpowiada, że koleżanki, ale nie mogę przecież kierować się zachciankami intuicji, bo jak to zachcianki, nie są obiektywne... Co prowadzi nas do rozważań nad obiektywizmem intuicji... Ale to może innym razem) wydaje mi się całkiem celny.

²² (AN4) **Tu muszę się jednak wtrącić. Znam znakomitego patologa, doktor Śledzonę (doskonale nazwisko śledcze, swoją drogą), która potrafiła wybitnie sięgać do serca, nawet dźgniętego albo poszarpanego pociskiem, i wydobywać je tak, by nie wprowadzać dodatkowego zamieszania.**

²³ (AN1) To już są kolosalne brednie i widać, że autor odjeżdża. Przepraszam, że długo nie odpowiadałem, ale wyrzuc-

Dowodów na to nie trzeba daleko szukać. Świętologia to chyba jedyny przypadek w historii nauki, w której niemal wszyscy badacze sięgnęli w końcu po pisarskie pióra. Fizyk Arthur Szürke, nim przepadł w tajemniczych okolicznościach, z nieznanym do końca przyczyn²⁴, napisał osiem poematów poświęconych świętologii. Paul Dubois także poświęcił się swego rodzaju literaturze, choć specyficznej. Miał drukować swoje prace, oblepiać nimi ściany własnego mieszkania. Policja zatrzymała je niestety wszystkie po jego zniknięciu, jednak wiadomo skądinąd, że Dubois od analizowania tekstów literackich poświęconych Świętom przeszedł do uzupełniania ich braków własną twórczością. „Braków”, ponieważ

no mnie z czytelnicy za pisanie po książce (jednak ktoś tu pracuje – wyrazy szacunku). Musiałem wrócić pod przybranym nazwiskiem i ze zmienioną fizjonomią. Na szczęście mam w tym wprawę z moich wypraw.

²⁴ **(AN4) Przyczyny są doskonale znane i udokumentowane dzięki wytrwałemu śledztwu. Szürke badał sprawę Dubois i jak wskazuje dochodzenie, zapuścił się jego tropem w niebezpieczne rejony. Nawiązał zresztą kontakt z Anette Pazzadani, od której otrzymałem dokładną relację z ich ostatniego spotkania. Szürke był, według niej, bardzo zdenerwowany, ponoć na sam koniec zgodził się z jej tezami dotyczącymi mrocznych aspektów Świąt. To akurat nie wydaje mi się do końca wiarygodne, ale w zdenerwowanie fizyka wierzę, potwierdzają je inne zeznania. Szürke się bał.**

uważał, że twórcy literatury świątecznej dokonywali autocenzury, by nie wyrazić w niej wszystkiego, co wiedzieli bądź choćby przeczuwali. Uczony szukał więc owych „usuwanych” fragmentów, dopatrywał się prawidłowości tak w strukturze ocenzurowanych tekstów, jak ich rytmach, rymach i fabułach. Aż w końcu sam przepadł bez śladu, pozostawiając na obitych zapisanymi stronkami ścianach wielki napis czerwoną farbą: NADCHODZĄ! Jako że owo ostatnie dokonanie literackie Dubois znaleziono dnia 20 grudnia, uznano, że miał na myśli Święta właśnie. Z hipotezą taką zgodziła się policja, ale nie wszyscy świętolodzy, z Anette Pazzadani na czele.

By jednak przybliżyć zdanie Pazzadani na temat zniknięcia Dubois, trzeba najpierw przybliżyć poglądy włoskiej badaczki na samą świętologię. Jak wspomniano, Pazzadani kontynuowała badania profesora Hirvi. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że ów uczony, w efekcie zbyt dociekliwych badań nad dziełami Andersena, popadł w wyjątkowo mroczną depresję, przez co jego prace pisane u schyłku życia tchną nihilizmem, bełkotliwym mistycyzmem, a nawet bezsceptycyzmem! Asceptycyzmem wręcz! Od nich to wyszła Pazzadani i w oparciu o te nieszczęsne

pisma stworzyła teorię transformacyjności scjentomaterialistyczno-kapitałowej świętologii. Wszyscy ją znamy, toteż nie ma potrzeby dokładnego rozpisywania się na temat tych dotkniętych *sähkökatkos* tez. Ponieważ jednak winniśmy rzetelne przedstawienie świętologii tym, którzy nie mają wiedzy w jej temacie, napomknę²⁵, że²⁶ ²⁷ ²⁸ ²⁹ Pazzadani jest autorką teorii, iż istnieje grupa, której celem jest transformacja ludzkości przy użyciu świętologii. Śladów jej działania uczona upatrywała tak w wydarzeniach na świecie, jak i dziełach literackich oraz pracach naukowych.

²⁵ **(AN4) Nie mogłem nie zwrócić uwagi na nie pierwsze w tekście pomylenie przez autora liczb. Oto w jednym zdaniu pisze on o sobie na przemian w liczbie pojedynczej i mnogiej. To cenny trop, który może potwierdzać niektóre podejrzenia na temat tego artykułu.**

²⁶ (AN1) Moim zdaniem autor po prostu próbuje przyjąć ton rozpraw naukowych, ale wyraźnie brakuje mu wprawy. Co zresztą dowodzi, że wcale nie jest naukowcem. Zapewne nie ukończył studiów, a do przeczytania prawdziwej pracy naukowej nie miałby cierpliwości. Naczytał się za to dyletanckich opracowań i ich styl stosuje w tekście, nieświadomy jak bardzo go to demaskuje.

²⁷ (AN2) A jednak Anette rzeczywiście uważa, że autorem *Wstępu...* nie jest jedna osoba, a raczej grupa należąca do spisku starającego się przejąć świętologię.

²⁸ **(AN4) A skąd pan to wie? Pazzadani zniknęła na dwa lata przed publikacją *Wstępu...*!**

²⁹ (AN2) Ups...

Według Pazzadani grupa ludzi przy- najmniej od stu lat starała się wyko- rzystywać mechanizmy Świąt w celu kontrolowania, a nawet kreowania za- chowań społecznych. Najjaskrawszym przykładem takich działań miało być w jej przekonaniu stopniowe przejmowanie rytuałów świątecznych przez instytucje świeckie i przekształcanie ich w akcje promocyjne i marketingowe. Jednak za tym pozornym krzewieniem konsumpcjonizmu kryło się, według Pa- z zadani, coś znacznie mroczniejszego i złowieszczego. Coś, czego korzenie sięgały do samych początków wszelkiej świąteczności, a czego zinstytucjono- wanie rozpoczęło się w VII wieku na Wyspie Spełnionych Życzeń Wigilijnych. To właśnie podczas wyprawy śladami Michała Esoesa uczona zaginęła bez wieści³⁰. Zdaniem Pazzadani cenzuro- wać dzieła świąteczne miała właśnie ta dziwna grupa spiskowców.

Jak widać, podejście do świętologii może być bardzo różne, sięgać czasem mistycznych objawień i apokaliptycz-

³⁰ Przepraszam, czy coś mnie ominęło? Panowie, zdaje się, wysuwacie tu jakieś podejrzenia? Co miało znaczyć to „ups”? Jeśli dobrze je interpretuję, pan fioletowy coś wie? Natomiast jeśli chodzi o przepadnięcie Pazzadani, nie było tak zupełnie bez wieści... Sam znalazłem butelkę z wiadomością i prze- kazałem ją prasie! Znalazła się nawet gazeta, która ją opu- blikowała!

nych wizji³¹. Nic w tym dziwnego, badając święta (wszelkie), dotykamy wszak tego, co w człowieku najintymniejsze, a w ludzkości bodaj najstarsze. Jakkolwiek mroczne wizje Pazzadani wydają mi się świadectwem upadku udręczonego losem mistrza umysłu, nie można zaprzeczyć, że Święta w swych korzeniach sięgają do najstarszych i najpierwotniejszych systemów organizacji życia społecznego i kształtowania zasad życia ludzkości. A przy tym równie głęboko sięgają do naszych dusz i serc³².

Dlatego³³ z przyjemnością³⁴ oddajemy do Państwa rąk ten zbiorek, w którym za pseudonimami pisarskimi kryją

³¹ **(AN4) Skoro już o apokalipsach mowa... Ta pańska gazeta to „Profezie di Sventura della Sera” wydawana przez niejaką Inez Trattoria, przypadkiem znajomą Pazzadani i kuzynkę Esoesa. Zastanawiające, prawda?**

³² (AN1) Tu już autor pojechał w kompletną grafomanię. Natomiast odnośnie wypowiedzi pana „Piszę grubą czcionką, bo jestem ważnym urzędnikiem państwowym”, to bardzo proszę bez wyzwisk. „Esoesa” wymyśliły jakieś szmatławce i doprawdy nie odpowiada mi to...

³³ **(AN4) Ha! Przyznaliście się, Esoes! Od zawsze wiedziałem, że sfingowaliście swoje zaginięcie i z ukrycia badacie świętologów nowego pokolenia! Gadajcie, co żeście zrobili z Pazzadani! Upprzedzam, że cała czytelnia obsadzona jest przez moich ludzi! Jeśli to teraz czytacie, pewnie rozglądacie się nerwowo i po tym was właśnie zdekonspirujemy! Gra skończona!**

³⁴ (AN2) Może się powtórzyć, ale doskonale pasuje to do sytuacji: ups...

się często uznani świętolodzy, którzy przy pomocy literatury starają się opowiedzieć o tym, o czym nie była w stanie w pełni opowiedzieć nauka. Świętologicznie o Świętach, czyli o nas.

Posłowie do wstępu do *Wstępu do świętologii*

Tu kończy się tekst *Wstępu*..., urywają się też notatki na jego marginesach, które my, dla ułatwienia czytelnikowi lektury, przedstawiliśmy w kolejności w przypisach. O ile nam wiadomo, nie doszło do żadnego aresztowania w czytelni Biblioteki Jagiellońskiej, a Anonim 2 został ani zatrzymany, ani zidentyfikowany. Podejrzenia Anonima 4 nie znalazły więc potwierdzenia. Jeśli czwartym był, jak interpretuje wielu badaczy, komisarz Lech Szymborski, nie może udzielić nam już żadnej informacji, ponieważ ten znany policjant przepadł bez śladu, jak wielu innych świętologów. Czy porwała go mroczna sekta, jak twierdzi część teoretyków, czy też wraz z innymi bawi się podczas wiecznej Wigilii na Wyspie Spełnionych Życzeń Wigilijnych, jest jedną z wielu niewyjaśnionych zagadek świętologii. Nam pozostaje opublikować to wydanie opowiadań świętologicznych w nadziei, że może ktoś kiedyś sięgnie po jego egzemplarz na półce Biblioteki Jagiellońskiej i znajdzie na marginesie jednej ze stron tajemniczy dopisek...³⁵.

³⁵ Jupii duppi du!

Paweł Dybała

Letzte Weihnacht

– Mamo, mamó! Zobacz! Renifery! – wrzasnął kilkulatni chłopczyk, rzucając się biegiem ku zatłoczonemu placykowi.

– Karolku, szalik...! – zawołała słabym głosem obuczona siatkami kobieta w średnim wieku, wychodząc z galerii z widoczną zadyszką. Na próżno, dziecię popędziło przed siebie kurcgalopem. Gdy po kilkunastu sekundach rodzicielka dotruchtała do miejsca, w którym wreszcie przystanąło, miała już ułożoną w myślach formułkę kazania wypominającą pociesze wszystkie zabawki i słodycze, na których kupno dała się dziś namówić, oraz zawierającą obowiązkową klauzulę: „A Mikołaj patrzy”.

Nie wygłosiła jednak ani słowa z tej przemowy, gdyż zdała sobie sprawę, że Mikołaj naprawdę patrzył.

Na placu przy galerii handlowej ustawiono coś na kształt stajni, przy której osoba obdarzona najwidoczniej niemałą fantazją umieściła sporych rozmiarów bogato zdobione sanie, zaprzęgnięte w dziewięć najprawdziwszych reniferów. Obok parsających, stukających

kopytami o chodnik zwierząt stał, a jakże, sam Mikołaj z pokaznym worem na plecach. I to właśnie on, poklepując pierwszego z reniferów po karku, spoglądał na zgromadzony wokół tłumek dzieci i rodziców spod czerwonej czapy z obowiązkowym białym futrem.

W jego wzroku było... coś. Coś, co sprawiło, że matkę nagle przeszył dreszcz, bynajmniej nie z powodu panującego tego dnia lekkiego mrozu. Gdy ich oczy na chwilę się spotkały, niemal fizycznie poczuła bijący od nich chłód. Nie obojętność, właśnie chłód. Lodowatą bezwzględność. Niemal... nieludzką?

– Ho, ho, ho! – Z rozmyślań wyrwał ją tubalny głos Mikołaja. Święty ze stęknieniem postawił na ziemi worek, teatralnym gestem otarł z czoła niewidzialny pot, po czym rozłożył szeroko ramiona i zawołał: – To jak, dzieci, kto chce pogłaskać reniferka!?

– Jaaa!!! – Ogłuszający, typowy dla przedszkolnej dziatwy wrzask sprawił, że część stojących w pobliżu rodziców odruchowo zatkała uszy. Jednym z pierwszych dzieciaków, które rzuciły się ku zwierzakom, był, a jakże, Karolek.

– Nie...! – zakrzyknęła matka w skazanej na niepowodzenie próbie powstrzymania potomka. Ten stał już przy niepokojącym Mikołaju, który, o zgrozo, nawet pogłaskał go po głowie.

– Jak myślicie – święty wskazał na pierwszego z reniferów – jak ma na imię ten czerwono nosy?

– Rudoolf!!! – wrzasnęły znów dzieci, a zwierzę nerwowo zastrzygło uszami.

– Bravo! – pochwalił Mikołaj. – Jego czerwony nos zawsze wskazuje nam drogę! Za nim natomiast – przeszedł kilka kroków wzdłuż zaprzęgu – stoją: Błyskawiczny, Kometek, Fircyk, Profesorek, Amorek, Py-

szalek, Tancerz – wyliczał, klepiąc każdego z renów po szyi, za co te odwdzięczały mu się parsknięciami. – Oraz Złośnik. Uważajcie, bo nie bez powodu nosi takie imię! – zarechotał, szybko cofając rękę, w samą porę, by uniknąć kłapnięcia zębów ostatniego ze zwierzaków. Niepocieszony Złośnik warknął wściekle, uciął jednak spiorunowany spojrzeniem świętego.

Mama Karolka poczuła narastający ból głowy. Nieco bezsilna, obserwowała, jak jej latorośl, uniesiona przez jegomościa w czerwonym stroju, paca po grzbiecie jednego z reniferów, za co ten odwdzięczył się zabawnym podrygiwaniem. To pewnie Tancerz, przeszło jej przez myśl.

Coraz bardziej skołowana, przyglądała się, jak Karolek karmi marchewką Kometka i odmachala mu apatycznie, gdy pomachał do niej, siedząc okrakiem na grzbiecie Amorka. Odczekała posłusznie, aż synek dopcha się, by pogłaskać Profesorka, co trwało dość długo, gdyż zwierzę najwidoczniej zapalało niezwykle ciepłym uczuciem do uroczych bliźniaczek, które stały w kolejce przed Karolkiem, i zawzięcie lizało je po rączkach.

Gdy dziecię obkoczyło już wszystkie renifery (poza Złośnikiem, co skonstatowała z niejaką ulgą i dumą, błogosławiąc w myślach resztki instynktu samozachowawczego potomka), już miała wziąć je za rękę i wyprowadzić z tego cyrku, wtedy jednak Mikołaj ponownie zahuczał swoje „ho, ho, ho”, a dzieci jak na komendę uciwały.

– A teraz, moje drogie smyki – zagaił, podchodząc do rzuconego uprzednio wora – powiedzcie no, byłyście grzeczne?

Ogłuszające „taaak” Złośnik skwitował kolejnym wściekłym parsknięciem.

– To świetnie się składa, bo dla wszystkich grzecznych dzieci mam tu drobne upominki! – Mikołaj sięgnął do worka i wydobyl z niego przewiazane czerwona wstazką pudełko. Na widniejącym nań obrazku uśmiechnięty chłopiec pokazywał rozanielonej dziewczynce wewnętrzną część uniesionej dłoni, na której namalowany był orzeł. W wychodzącym z ust chłopca komiksowym dymku widniał napis: „Hi!”.

– Ach, to ta gra po angielsku, za którą wszyscy tak szaleją! – ucieszyła się stojąca nieopodal młoda kobieta. – Właśnie słyszałam, że będą dziś rozdawać zestawy startowe!

Mama Karolka odruchowo chciała zaprotestować, oczyma wyobraźni widząc latorośl jęczącą o kolejne dodatki do startera, jednak na widok radości w oczach syna, który jako jeden z pierwszych dochrapał się upominku, jej serce momentalnie zmiękło. *W sumie, co nam szkodzi*, pomyślała. Po pierwsze, gra po angielsku, jak by nie patrzeć, posiada walor edukacyjny. A po drugie, perspektywa rychłego powrotu do domu wydała się nad wyraz kusząca.

– Wesołych Świąt! – pożegnał ich na odchodnym tubalny głos. Kobieta wzdrygnęła się.

* * *

Było już grubo po siódmej, gdy Mikołaj z obowiązkowym uśmiechem pomachał na pożegnanie ostatniemu z dzieci, odciąganiem siłą z placu przez wyraźnie wyczerpanych dorosłych. Gdy opętańcze wycie chłopczyka ucichło, uśmiech zniknął z twarzy świętego.

– Ja pierdolę – westchnął ciężko Kometek, pochylając łeb. Złośnik parsknął wściekle.

– Spokojnie, *mein Führer* – wycodził Mikołaj. – Opanujcie się wszyscy. Pogadamy na pierwszym postoju.

* * *

Polana w podmiejskim lasku pokryta była cienką warstwą świeżego śniegu, na której widniały jedynie ślady płóz i kopyt.

– Dobra, dziesięć minut przerwy – zarządził Mikołaj, gramoląc się z sań.

– Ile!? – warknął renifer zwany Amorkiem, łypiąc groźnie na świętego. – Cały dzień dawaliśmy się głaskać bandzie gówniarzy i wysłuchiwalismy ich wrzasków, a ty dajesz nam dziesięć minut!?

– Daj spokój, Heinrich – sapnął Tancerz. – Zapomniałeś, jak kiepsko stoimy z czasem?

– Joseph ma rację – poparł go Błyskawiczny. – W tym tygodniu mamy do obskoczenia jeszcze kilkanaście miast, a potem...

– Potem już będą Święta – wtrącił się Rudolf. – Magiczna noc, podczas której wszystko się skończy... i znacznie.

– Dobra, dobra, może nie zapieszaj, co? – skarcił go Fircyk. – Skupmy się na tym, co mamy do zrobienia.

– I nie róbmy sobie nadziei – dodał Pyszałek. – Nie wiem, czy zniesiemy kolejne rozczarowanie... Prawda, Tancerzu? – Zerknął znacząco w kierunku towarzysza.

– Ile razy mam prosić, żebyś mnie tak nie nazywał!? – zirytował się tamten. – Bo to takie śmieszne, prawda!? Nazwać „Tancerzem” kogoś, kto jako człowiek utykał. Naprawdę, boki zrywać!

– Nie ja to wymyśliłem – odparł Pyszałek, spoglądając na Mikołaja.

– Ja też nie! – obruszył się święty. – To była...

– Tak, tak, wiemy – przerwał mu sarkastycznym tonem Kometek. – Tajemnicza świetlista istota, która swą niezwykłą mocą zaklęła nas w renifery po tym, jak ciebie zmieniła w tego... brodatego błazna.

– Panowie, spokojnie. – Amorek stanął pomiędzy nimi. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Reinhard dobrze gada, po prostu skupmy się na tym, co mamy do zrobienia. „Hi!” bije rekordy popularności, więc wszystko wskazuje na to, że tym razem powinno się udać. A to, czy faktycznie tak będzie – rzucił ostrzegawcze spojrzenie Mikołajowi, który już otwierał usta, by coś powiedzieć – być może okaza się już niebawem. Słowem, byle do Wigilii.

– Byle do Wigilii – powtórzył Rudolf.

Złośnik parsknął ze zniecierpliwieniem.

– Już niedługo, *mein Führer* – uspokoił go Kometek. – Już niedługo.

– Cudne były te bliźniaczki... – rzekł rozmarzonym głosem Profesorek.

* * *

Kryształki śniegu pokrywającego strzechę stojącej pośród pustkowi chatki raz po raz błyskały odbiciem księżycowego światła. Widok ten był tak klasycznie zimowo-święteczny, że większość ludzi na świecie zapewne uznałaby, iż nic równie cudownie tandetnego nie miałoby prawa istnieć.

A jednak. Zresztą chatka lśniła także soplami, którymi mróz szczerze obwiesił nie tylko krawędź jej dachu, ale i litery sporych rozmiarów szyldu widniejącego nad wejściem. Misternie wyrzeźbione w drewnie gotyckie litery układały się w napis: „Dom Reichniferów”.

Prowadzony przez Rudolfa zaprzęg wylądował miękko i precyzyjnie, tak że sanie zatrzymały się dokładnie przed wejściem.

– Ho, ho, ho! – zadudnił Mikołaj, ocknąwszy się z drzemki. – A, przepraszam – zreflektował się na widok chatki. – Piękne lądowanie, panowie!

– Daruj sobie – warknął Heinrich-Amorek. – Wyśpałeś się, to teraz nas wyprzęgaj.

Uwolnione z uprzęży renifery jeden po drugim weszły do chatki.

– Uff, wreszcie w domu! – westchnął Fircyk, zmierzając prosto do swego żłobu z sianem.

– Nie ciesz się tak – burknął Kometek, człapiąc ku pożywieniu. – Jutro z samego rana ruszamy dalej.

– Zawsze to noc na swoim, nie? – wybełkotał Amorek, mieląc zawzięcie paszczą.

Wkrótce cała chatka wypełniła się odgłosami chrupania, żucia i mlaskania.

– Co tam? – Posilony Amorek podszedł do Mikołaja-Helmuta, który, zatopiony w myślach, stał przed „strefą wspomnień”, jak powszechnie nazywano pożądanym fragment ściany pokryty starymi zdjęciami i archiwalnymi wycinkami z gazet. – Na wspominki ci się zebrało?

– Coś w tym rodzaju. – Święty pokiwał głową. Przez chwilę stali we dwóch i w milczeniu przyglądali się ekspozycji.

Każdy z reniferów miał w niej swój własny kącik zatytułowany aktualnym przydomkiem oraz imieniem i nazwiskiem, których używał za ludzkiego życia. Amorek z ukłuciem nostalgii spojrział na swoje dawne fotografie, po czym przebiegł wzrokiem po zbieranych latami artykułach, których tytuły układały się w skrót-

towe, acz dość adekwatne podsumowanie jego kariery. „Policyjne imperium Heinricha Himmlera” wisiało obok „Pierwszego mistyka Trzeciej Rzeszy” i nad bogato ilustrowanym „Największym wrogiem homoseksualistów”. Amorek podejrzewał, że to z uwagi na ten ostatni, zgodny z prawdą epitet, zyskał taki, a nie inny przydomek jako renifer. Czymkolwiek była owa tajemna siła, która zmieniała ich w renifery i nadała im imiona, najwidoczniej miała mocno zwichrowane poczucie humoru.

Szybko przesunął wzrokiem po kącikach pozostałych kompanów. Zdjęcie Kometka na tle myśliwca jak zwykle sprawiło, że poczuł ukłucie zazdrości, gdyż akurat w przypadku Hermanna Göringa owa enigmatyczna magiczna siła nie wykazała się przesadną kreatywnością, nadając mu pseudonim nawiązujący bezpośrednio do jego kariery w lotnictwie.

W takich chwilach nastroj zwykle poprawiała mu lektura artykułów o Pyszałku, sarkastycznie opisujących megalomanię Hansa Franka, który ponoć kazał się tytułować „niemieckim królem Polski”.

Uśmiechnął się mimowolnie, czytając fragment eseju o zdeformowanej nodze Josepha Goebbelsa vel Tancerza. Humoru, o dziwo, nie popsuło mu nawet zdjęcie, z którego spoglądał arcyprzystojny Fircyk, czyli Reinhard Heydrich.

Wzdrygnął się nieco na widok sążnistego artykułu o praktykach doktora Mengele, przypominając sobie wcześniejsze zachwyty Profesorka nad bliźniaczkami.

Po raz kolejny z uznaniem pokiwał głową nad dokonaniem Heinza Guderiana w dziedzinie *blitzkriegu*. Błyskawiczny nosił chyba najbardziej adekwatny i najmniej ironiczny pseudonim z całej ferajny... No, pomi-

jając Rudolfa Hoessa, przy którym najwidoczniej wena twórcza tajemniczej istoty uległa wyczerpaniu.

Ach, no i był jeszcze On – sam *Führer*, któremu poświęcono centralną część ekspozycji. Jak zwykle na widok fotografii dumnego wodza wpatrującego się w dal stalowym spojrzeniem Amorek poczuł ukłucie żalu. Biedny Wódz jako jedyny z ekipy nie pozbierał się po owej dziwacznej „reinkarnacji”, która z niewiadomych przyczyn stała się ich udziałem. Gdy wszyscy otrząsnęli się z pierwszego szoku po przebudzeniu w ciałach reniferów, odkryli, że potrafią mówić ludzkim głosem. Wszyscy – prócz Złośnika. On jeden jak dotąd, choć minęło już przecież kilkadziesiąt lat, nie wypowiedział ani słowa. Potrafił zdobyć się tylko na bardziej lub mniej gniewne parskanie, prychnanie tudzież sapanie, które byli podwładni z poświęceniem starali się przełożyć na zrozumiały język. I choć nie zawsze mieli pewność, czy dobrze odgadują intencje Adolfa, robili wszystko, by jak najlepiej opiekować się swoim dawnym przywódcą.

Osobny kącik poświęcono samemu Mikołajowi. Tu materiałów było stosunkowo niewiele, bo i sam „święty” był nieco mniej znany niż pozostali. Heinrich pamiętał dobrze, jak wielkie było jego zdziwienie, gdy okazało się, iż rola przywódcy ich stada przypadła niejakiemu Helmutowi Nicolaiowi. Zapewne przez nazwisko... A może coś, co zgotowało im taki los, uznało, że na specjalne względy zasłużył osobnik, który – jak głosił tytuł jednego z nielicznych artykułów – był „naczelnym teoretykiem Trzeciej Rzeszy” i położył ideologiczne podwaliny pod jej powstanie?

Tamtej pamiętnej nocy zdziwienie reniferów rosło z każdą chwilą, gdy Helmut-Mikołaj wyjaśniał im całą kuriozalną sytuację, w której z jakiegoś powodu się

znaleźli. Z coraz większą konsternacją słuchali historii o tym, jak jakaś magiczna siła zmieniała ich w renifery i obiecała, że na powrót staną się ludźmi, gdy nadejdą takie Świeta, w które zdołają pokojowo przekonać większość świata do idei nazizmu. Cała ta historia wydawała się idiotycznym snem chorego umysłu – a jednak boleśnie namacalnym dowodem na jej prawdziwość były ich masywne, włochate cielska, okazałe poroża, kopyta i reniferze pyski...

– Myślicie, że tym razem się uda? – Z rozmyślań wyrwał ich głos Rudolfa. Renifer zmarszczył swój czerwony nos i sapnął z namysłem. – Może faktycznie nie powinniśmy zapeszać, ale jak dotąd wszystko wygląda nieźle...

– Owszem. – Mikołaj pokiwał głową. – Ale kilka razy już to przerabialiśmy, prawda?

Wzrok całej trójki powędrował ku wiszącemu przy kąciku Tancerza tekstowi piosenki *Sieg Goebbels*. Piękny niemiecki tytuł skreślono grubą, czerwoną krechą, nad nim zaś napisano ten ohydny, angielski, pod którym omyłkowo spopularyzowano wymyśloną przez kuśtykającego renifera pieśń. Było tak blisko... ale kto mógł przewidzieć, że najwidoczniej przygłuchy i przygłupi DJ radia, do którego wysłali nagranie, nada mu znany dziś na całym świecie tytuł *Jingle Bells*?

Heinrich potrząsnął rogatym łbem, próbując odpedzić złe myśli i traumatyczne wspomnienia. Z czasów kariery w Trzeciej Rzeszy zostało mu jeszcze kilka przyzwyczajień – jak choćby to, że wizyty w obozach koncentracyjnych zawsze koily jego znużone politycznymi rozgrywkami serce.

– No nic. – Tupnął dziarsko kopytem. – Dość gadania. Czas zajrzeć do elfów.

– Dobry pomysł. – Ożywił się również Mikołaj, podchodząc do włazu w podłodze, zamkniętego na okazałą kłódkę. Wyjął z kieszeni sporych rozmiarów złoty klucz, włożył go w zamek, przekręcił z cichym skrzypnięciem, po czym uniósł drewnianą kłapę. Zgrzytnęły zawiasy, a oczom zgromadzonych ukazały się kamienne schody.

Amorek zszedł pierwszy. Ruszył ciemnym korytarzem ku ciepłemu blaskowi. Po kilku krokach jego uszu dobiegło znajome murmurando.

Chwilę później wkroczył do wielkiej, oświetlonej blaskiem niezliczonych kandelabrow jaskini. Widok, który zastał, niezmiennie przyprawiał go o dreszcze. Armia niewielkich, odzianych w zielone ubranka istot o szpiczastych uszach i takich nosach dwoiła się i troiła przy obsłudze skomplikowanej maszynierii. Te, które nie krzątały się przy samych sprzętach, nosiły naręcza pudełek z grą „Hi!”, ustawiając je na stojących pod ścianą paletach.

– Ekhem! – chrząknął znacząco Mikołaj, który, nieco zziąjany, doczłapał do jaskini jako drugi. Na ten sygnał jak spod ziemi wyrósł przy nich uzbrojony w halabardę elf strażnik.

– *Wilkommen, willkommen!* – Skłonił się głęboko, po czym zawrzasał: – Zbiórka na apel, obiboki! Panowie wrócili!

Na tę komendę wszystkie elfy błyskawicznie porzuciły pracę, by w kilka sekund ustawić się w szeregu przed Mikołajem i ekipą reniferów.

– Co tak wolno!? – wrzasnął wściekle Heinrich. – Nóg nie macie, podludzie!? A może opadliście z sił i nie nadajecie się już do pracy, co!? Wiecie, co robimy z takimi nieprzydatnymi ścierwami!? He!?

– Tak jest, *mein Herr!* – odkrzyknął posłusznie strażnik. – Takie ścierwa zasługują na śmierć!

– Otóż to! – ryknął zadowolony Amorek. – I to właśnie czeka... dajmy na to, dziesięciu z was, jako kara za zbyt wolne stawienie się na apel!

– Nie przesadzaj, co? – szepnął mu do ucha Pyszałek. – Dobrze wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na utratę siły roboczej.

– Uch! – sapnął zirytowany Himmler. – No dobra! – wrzasnął. – Chwilowo wam daruję! Zabijemy was... powiedzmy, po Świętach!

– Oczywiście, *mein Herr!* – Strażnik skłonił się ponownie. – Czy możemy wracać do pracy?

– Niedoczekanie wasze! – wydarł się znowu Amorek. – Zrobicie to dopiero wówczas, gdy *ja* tak powiem! – Przez chwilę dyszał ciężko. – No dobrze, możecie – zezwolił łaskawie.

– Całoość, rozejść się!!! – krzyknął gromko strażnik. Elfy błyskawicznie wróciły na stanowiska i jakby nigdy nic kontynuowały przerwane zadania.

– Uff. Od razu lepiej! – odetchnął z ulgą Amorek, wychodząc z jaskini.

* * *

Gdy rozległ się trzask zamykanego za ostatnim z reniferów wjazdu, do elfa strażnika podszedł jeden z robotników.

– Może powinniśmy im w końcu powiedzieć? – proponował nieśmiało. – Co jeśli naprawdę zrobią komuś coś złego?

– Kto, oni? – roześmiał się strażnik. – Przecież muchy by nie skrzywdziły!

– No tak, ale... – Nie dawał za wygraną tamten. – Cała ta otoczka obozu pracy, to udawanie uciemiężonych robotników... Przecież to głupie. Nie łatwiej byłoby im wyjaśnić, że pracujemy tu, bo lubimy?

– Może i łatwiej. – Strażnik spoważniał. – Ale sam widzisz, jaką przyjemność sprawia im ta zabawa w oprawców. Nie odbieramy im tego.

* * *

Amorek ze zdziwieniem skonstatował, że ostatni tydzień przed Wigilią minął jeszcze szybciej, niż się spodziewał. Owszem, zmęczone wystawaniem przed kolejnymi galeriami nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a w uszach wibrowały wrzaski zachwyconych dzieci, jednak delikatne dźwięki muzyki Wagnera, rozlegające się w zaciszu chatki, skutecznie koły zszargane nerwy.

Odkąd wrócili z ostatniej wyprawy, panowała wśród nich atmosfera radosnego wyczekiwania. Jak dotąd nikt nie wspomniał o tym, co miało się wydarzyć. Niepisaną zmoowę milczenia przerwał w końcu Kometek, wypowiadając głośno pytanie, które w duchu zadawali sobie wszyscy.

– Myślicie, że się uda?

– Co ma być, to będzie – rzekł filozoficznie Profesor.

– Nie nastawiajmy się. – Fircyk pokiwał łbem.

– A ja myślę, że tym razem daliśmy radę – sprzeciwił się Rudolf. – Powiadam wam, to nasze ostatnie Świąta w tych ciałach.

– Wiecie, panowie... – wymamrotał wyraźnie spięty Mikołaj. – Muszę wam coś powiedzieć...

Przez kilka chwil stali w milczeniu, którego dramatyzm podkreślały wagnerowskie trąby.

Wreszcie z westchnieniem odezwał się Amorek.

– Nie, nie musisz.

– Ale... – zaoponował Helmut. – Nie rozumiecie... Tak naprawdę...

– Nic nie mów, dobrze? – przerwał mu Błyskawiczny. – Po prostu milcz.

– Nie! – Święty podniósł głos. – Nie mogę tak dłużej...! Tak naprawdę nie ma żadnej klątwy! Żadnej mocy! Nie wiem, co sprawiło, że odrodziliśmy się w takich, a nie innych ciałach, ale obawiam się, że nikt i nigdy tego nie zmieni, bo wszystko to wymyśliłem!

Ciężkie milczenie, które wypełniło wnętrze chatki, ponownie przerwał Heinrich.

– Mówisz, jakby to była jakaś wielka nowina.

Mikołaj zamrugnął szybko, przenosząc skołowany wzrok z jednego renifera na drugiego.

– To znaczy, że... wiedzieliście?

Zwierzęta pokiwały łbami.

– Więc... czemu żaden z was nic nie powiedział? Przecież was okłamałem!

– Bo wiedzieliśmy, że zrobiłeś to dla nas – powiedział łagodnie Fircyk. – Chciałeś dać nam jakiś cel. Coś, czym moglibyśmy się zająć w tym dziwnym, nowym życiu.

– Poza tym było całkiem fajnie – dodał Rudolf. – Nie zawsze łatwo, ale fajnie.

– I można było polatać – dorzucił Kometek.

– I spotkać bliźniaczki... – rozmarzył się Profesor.

– Więc... nie gniewacie się na mnie? – zapytał z niedowierzaniem Mikołaj.

– Nie – sapnął krótko Złośnik ku osłupieniu wszystkich obecnych.

Mikołaj poczuł, że wilgotnieją mu oczy, i to bynajmniej nie od wzruszających taktów *Pierścienia Nibelunga* Wagnera.

Podśluchujące pod włazem elfy zachichotały cicho.

* * *

– Mamo, mam, zagramy w tę nową grę! – wrzasnął Karolek, skutecznie wyrывая z letargu objedzone i nieco już ospałe towarzystwo przy wigilijnym stole. Nacieszywszy się prezentami znalezionymi pod choinką, dziecię przypomniało sobie o grze, którą otrzymało od tamtego dziwnego Mikołaja.

– Może jutro...? – odparła słabym głosem mama, jednak potomek już rozkładał na podłodze akcesoria znalezione w pudełku.

Chwilę później siedzieli wszyscy wokół planszy. Mama, wpatrując się w instrukcję, usiłowała wyłuszczyć zasady pozostałym graczom.

– ...więc tak, losujesz kartę z angielską nazwą zwierzęcia, nie patrzysz na nią, zamykasz oczy, a wtedy ktoś rysuje ci to zwierzę na dłoni. Gdy skończy, musisz podnieść rękę, o tak, by wszyscy oprócz ciebie widzieli rysunek, i powiedzieć „Hi”, a wtedy pozostali...

– Hy, hy – przerwał jej wuj Józef. – Prawie jak „heil Hitler”!

– No wie wuj co! – obruszyła się mama. – Przecież to gra dla dzieci!

Izabela Grabda

Spełnione marzenie

– Otrzymałaś informację z PrzedSIONKÓW Niebiańskich, kiedy ten wieprz będzie tędy przejeżdżał i nie dopatrzyłaś, że masz na swoim terenie wampirzycę? – rzuciła oskarżycielskim tonem Anen, jeden z trzech bytów magicznych Elwiry, zwierchniczki wiedźm strażniczek. – Chcesz zabić magię Świąt na świecie?

– Oj, nie chcę – westchnęła z zakłopotaniem nieduża szatynka o fiołkowych oczach. – Dlatego zawiadomiłam Elwirę i poprosiłam o pomoc. Nie przypuszczałam, że akurat tobie zleci zadanie, przysięgam! Ja wiem, że ty z Mikołajem...

– Nie mam do ciebie pretensji – przerwała jej i sięgnęła po ogromny kubek z kawą. – Iga, moja niechęć do tego tłustego, zboczonego knura nie ma tu nic do rzeczy. Mów, co wiesz?

– Wczoraj rozmawiałam ze znajomą pielęgniarką naszego ośrodka zdrowia – zaczęła się tłumaczyć wiedźma, a Anen, patrząc na nią oskarżycielskim wzrokiem, powoli sączyła czarny napój. – Sylwia powiedziała, że ostatnim półroczu zarejestrowali kilkanaście

przypadków ciężkiej anemii i szybko postępującej apatii. Sami faceci między sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia. Trzech wampirzyca doprowadziła do zawału, a jednego do samobójstwa.

– Krwiopijczyni wysysa ci przez sześć miesięcy geriatrycznych przystojniaków w miasteczku, a ty francy nie wyczułaś? Ładnie to świadczy o wiedźmach strażniczkach.

– Też tego nie rozumiem i gdyby nie przypadkowe spotkanie z Sylwią, nawet nie wpadłabym na jej trop – pokajała się Iga, która swój kubek z kawą jedynie obracała w dłoniach. – Po wyssanych egzemplarzach ewidentnie widać, na kogo poluje. A dzieci czekają na prezenty.

– Taa, żeby ten gruby debil jeszcze je rzeczywiście kupował – sarknęła, odłożyła pusty kubek i z trzaskiem wyprostowała kręgosłup. – Potrzebny jest w dzisiejszych czasach jak dziura w moście.

– Cóż. – Iga uśmiechnęła się. Też odłożyła swoje naczynie i sięgnęła po różową, puchatą kurtkę. – Magia Świąt musi działać, a tylko on potrafi ją zapewnić. Swoją drogą, nie rozumiem, dlaczego ty go tak nie lubisz?

– Miałaś z oblechem kiedykolwiek bliższy kontakt? – Kiedy Iga pokręciła przecząco głową, Anen skrzywiła się i dodała z nieskrywanym sarkazmem: – To może będziesz miała okazję się przekonać, jakim jest dobrodusznym staruszkiem.

* * *

Efi stała po kostki w śniegu na poboczu drogi i namierzała kolację. Jej wzrok potrafił dostrzec cel z odległości wystarczającej, żeby zatrzymać w odpowiednim momencie jadący samochód. Marnie to dzisiaj wyglądało:

za młody, kobieta, za stary, a ten jedzie z dzieciakami... i nagle idealny strzał! Jest upragniona kolacja!

Szybciutko przybrała odpowiednią, ludzką postać i wyskoczyła na jezdnię, zatrzymując nadjeżdżającego lexusa LS. Otworzyła drzwi od strony pasażera i spojrzała na elegancko ubranego mężczyznę, który na oko był ciut przed szóstym krzyżykiem. Sylwetka zaokrąglona, włos bujny, siwy. Pomyślała sobie, że dziadek jest nawet, nawet. Podziękowała, wsiadła i rozpięła białe futerko, pod którym miała jedynie nieprzyzwoicie krótką sukienkę w intensywnie czerwonym kolorze. Widząc prześlizgujące się po sobie jednoznaczne spojrzenie kierowcy, od razu przeszła do rzeczy.

– Jest w pobliżu niedrogi hotelik?

– Parę kilometrów przed miasteczkiem. Chcesz się w nim zatrzymać?

– Tak, tylko nie wiem, czy będzie mnie na niego stać, a jest już dwudziesta pierwsza i... – Spojrzała na kierowcę wzrokiem typowej „blondynki o małym rozumku”.

– Może mógłbym pomóc?

Efi odwróciła się do niego całym ciałem, a jego wzrok natychmiast wychwycił ładnie wyeksponowany odpowiednim dekoltem biust.

– Mam w portfelu marne grosze, a muszę przejechać jeszcze połowę kraju, żeby dojechać do mamusi na Święta. Gdyby był pan tak miły i zapłacił mi za pokój, to może... – Przesunęła palcami po dekolcie i zmysłowo przygryzła wargę.

Facet nabrał głębiej powietrza i ruszył z piskiem opon.

W hotelowym pokoju, za który oczywiście zapłacił, znaleźli się kilkanaście minut później. Efi poprosiła, żeby jej „dobroczyńca” przygotował się i poczekał. Kie-

dy tylko zamknęła drzwi łazienki, usłyszała pospieszną szamotaninę i jęk materaca pod ciężarem mężczyzny. Zrzuciła sukienkę, zostając w czerwonej koronkowej bieliznie i kozaczkach na wysokiej szpilce. Przeczesała palcami długie, czarne włosy, przesunęła językiem po górnych zębach. Po chwili zastanowienia powiększyła biust i zaokrągliła biodra. Z autopsji wiedziała, że takie stare pryki lubią mieć za co złapać, więc niech ma. Weszła do pokoju i zobaczyła, jak leży nagusieńki i czeka. Uśmiechnęła się w duchu, ponieważ od razu dostrzegła szybką reakcję na swoje wdzięki. Jej „kolacja” zaprezentowała absolutną gotowość do akcji. Stała na środku pokoju i wolnymi ruchami pozbyła się bielizny. Zaklął z wrażenia, a ona wskoczyła na łóżko, usiadła na nim okrakiem i pozwoliła się dziadkowi dokładnie obmacać. Przy okazji złapała go za nadgarstki, sprawdzając tętno. Było podwyższone, ale jeszcze nie do tego stopnia, jaki lubiła. Od razu przeszła do rzeczy i po trzech mocno zmysłowych ruchach zaczęła ostry galop.

– Szybka jesteś – mruknął z uznaniem.

Nachyliła się, nie przerywając podnoszenia ciśnienia agresywnie lubieżnymi ruchami do odpowiadającego jej poziomu. Prawie słyszała szum coraz szybciej krążącej krwi w żyłach faceta.

– Bo jestem głodna – odezwała się nienaturalnie niskim głosem, a w źrenicach zatańczył jej demoni fiolet.

Mężczyzna poczuł, jak ręce na jego nadgarstkach i nogi obejmujące biodra zaciskają się z niepasującą do kobiecych możliwości siłą, a jej oczy coraz mocniej płoną kolorem stworów Przedpiekła.

– O aniołowie PrzedSIONKOWI! – szepnął przerażony, widząc, jak otworzyła szerzej usta. Z równego, górnego rzędu białych ząbków wysunęły się dwa ostre kły.

Kiedy już miał wrzasnąć na całe gardło, coś błysnęło mu przed oczami, a sekundę później został zalany ciepłą, lepłą krwią. Bezgłowy korpus kochanki opadł mu na brzuch, a krew z szyi tryskała prosto w twarz. Szybko zrzucił z siebie zewłok i wytarł wampirzą posokę z twarzy.

– Miki, do kurwy nędzy, nawet w Święta nie potrafisz utrzymać kutasa w spodniach? Powinieneś już zająć się robotą, a nie grzmoceniem wampirzyc po przydrożnych hotelikach!

– Anen, słoneczko moje – westchnął z ulgą Święty Mikołaj, widząc nad sobą postać czyścicielki demonów z zakrwawionymi mieczami w dłoniach. – PrzedSIONKI Niebiańskie mi cię zesłały, najlepsza pośród Stylli Elwiry.

– Gdyby archaniołowie z PrzedSIONKÓW wiedzieli, co wyprawiasz, marnie byś skończył – prychnęła. – Nie wiem, dlaczego moja zwierzchniczka cię toleruje i pomaga, ale gdyby to ode mnie zależało, pomogłabym tej sympatyczniej wampirzycy wyssać cię na wiór. Za ratunek możesz podziękować wiedźmie opiekunce miasteczka, która w ostatniej chwili wykryła niebezpieczeństwo.

– Anen, ona się rusza – ostrzegła stojąca przy drzwiach Iga, której mina zdradzała zażenowanie całą sceną.

Stylla spojrzała na korpus wampirzycy i zobaczyła, jak ten czołga się w stronę leżącej nieopodal głowy. Kopnęła go zamasyście, po czym podeszła do odciętego czerepu i zaczęła grzmocić po nim mieczem. Iga, widząc, jak pod naporem siły uderzeń Stylli kości czaski pękają jak bożonarodzeniowe bombki, odwróciła wzrok. Anen przestała dopiero w chwili, w której z wampirzej głowy została sieczka, a korpus już się nie ruszał.

– Dziewczynki – usłyszały głos Mikołaja. – Nie chciałybym wyjść na gbura, ale ta śliczna wampirzyca zostawiła niedokończoną robotę.

– Jak masz za dużo juchy, proponuję odwiedzić stację krwiodawstwa – sarknęła Anen.

– Aneczko, nie drocz się ze mną. Wiesz, o czym mówię. – Bez skrepowania wskazał na swoje podbrzusze.

– Kurwa, Miki, skończ, bo na ciebie narzygam! Spierdalaj do łazienki i doprowadź się do porządku. Nie zrobisz tego natychmiast, przysięgam, że zawiadomię PrzedSIONKI o twoich ekscesach!

Mikołaj, nie spiesząc się, wykonał polecenie. Wiedział, jak złośliwą bestią jest czyścicielka. Wypełni groźbę bez mrugnięcia okiem, a przedSIONKOWE sankcje absolutnie mu się nie uśmiechały.

– Spopiel truchło – powiedziała Anen, patrząc na osłupiałą Igę.

Wiedźma pstryknęła palcami, a ciało stwora za-błysło bladym, niebieskim płomieniem, który zamienił je w garść szarego pyłu. Przy okazji usunęła wszystkie ślady krwi.

– Trochę jestem zawiedziona Mikołajem – odezwała się ostrożnie Iga. – Nawet zbrzydzone.

– Dawniej był naprawdę fajnym gościem, prawdziwym Mikołajem, dobrodusznym człowiekiem i wspa-niałym biskupem Miry. Ale potem kasa mu odjechała i zrobiło się z niego to, co ci dzisiaj zaprezentował.

– Kasa?

– Zmienił się, od kiedy podpisał kontrakt z Co-ca-Colą i ciągnie od nich franczyzę. Z roku na rok jest gorzej. Już ci nie powiem, ile razy Elwira neutralizowała skutki jego imprez w Vegas i kryła go przed szefostwem PrzedSIONKÓW Niebiańskich.

– Mikołaj? W Vegas? – Oczy Igi wielkością przypominały pięćdziesiątówkę.

– Kupił tam hotel, żeby urządzać imprezy z orgiami. – Machnęła tylko ręką. – Na biedne dzieciaki nie żałuje i z obowiązków rozsiewania świątecznej magii 6 i 24 grudnia też wywiązuje się koncertowo. Ale tylko przez te dwa dni w roku jest trzeźwy. Resztę czasu udaje bogatego właściciela ekskluzywnego hotelu, łoś panienki i chleje do nieprzytomności.

Z łazienki wyszedł elegancko ubrany mężczyzna z nienagannie przyczesanymi włosami i spojrzał na kobiety.

– Broda – rzuciła Anen, a Mikołaj przewrócił oczami i jego twarz pokrył gęsty, biały zarost. – Dłuższa. – Święty sapnął niecierpliwie i wydłużył brodę do satysfakcjonującej Stylłę długości. – Teraz do roboty.

Mikołaj gestem pokazał jej, że nie tak szybko i odwrócił się do Igi.

– Za uratowanie mojego drogocennego życia spełnię to marzenie, które w tej chwili przyjdzie ci na myśl – powiedział, patrząc w oczy wiedźmie.

Zaskoczył ją tak, że bez zastanowienia pomyślała o rzeczy, po której jej policzki w sekundzie nabrały odcienia dojrzałych pomidorów, a na twarzy Mikołaja zagościł mocno szelmowski uśmiech.

– Święty Mikołaju, ja się nie zastanowiłam, może poproszę o pomoc głodnym... – odezwała się zakłopotana Iga, ale położył jej palce na ustach.

– Głodne dzieci kto inny nakarmi. To prezent tylko dla ciebie, o którym będziemy wiedzieli jedynie my dwoje. Pokój masz opłacony na całą noc, więc baw się dobrze.

– Miki, kończ zabawę w złotą rybkę i bierz się za obowiązki – burknęła już zła na całego Anen i wyszła z pokoju.

Mikołaj mrugnął do wiedzy i również wyszedł, zamykając drzwi, a Iga poczuła, jak obejmują ją silne, męskie ramiona i odwróciła się.

– O Jezu – jęknęła, patrząc w błękitne oczy wysokiego, postawnego blondyna w zbroi i charakterystycznym czerwonym płaszczu.

– Kochanie, jestem synem boga, ale mitologie ci się pomyliły – odpowiedział z prawdziwie boskim uśmiechem.

Aneta Pazdan

Czy wierzysz w cuda?

Klaus potrzebował kilku minut, żeby znaleźć klucze w przepastnej torbie wypełnionej ubraniami, środkami czystości i lekami. Kolejne kilka minut zajęło mu otwarcie drzwi drżącymi rękoma. Niepewnie wszedł do wyziębionego, cichego domu. Wiedział, że nikogo w nim nie zastanie. Był ostatnim pozostałym przy życiu mieszkańcem. Mimo to czuł się nieswojo. Jak intruz. Może nawet jak włamywacz?

Rozejrzał się. W ciemnym, ciasnym przedpokoju pachniało stęchlizną, w powietrzu unosił się kurz. Prawdopodobnie od roku nikt nie przestąpił progu domu. Rodzice opłacali czynsz i rachunki, aby ich syn nie został bez dachu nad głową, ale poza tym nie chcieli mieć z nim nic do czynienia.

– Przynosisz wstyd rodzinie – powiedział mu ojciec rok wcześniej, gdy stali pod szpitalem. – I to akurat w Święta. Co mam odpowiedzieć twojej biednej babci, gdy zapyta, gdzie jesteś? Że trafiłeś do czubków?

– To był wypadek... – zaczął niepewnie Klaus, zawahał się.

Spojrzał na matkę, szukając w niej odrobiny zrozumienia, ciepła, jakiegokolwiek próby pocieszenia. Myślał, że skoro płakała, to może robiła to z żalu nad losem swojego biednego syna. Odraza w jej oczach uświadomiła mu, że rozpaczła wyłącznie nad swoim życiem.

– Twoje narodziny były wypadkiem. – Ojciec skrzywił się. – Byłoby lepiej, gdybyś ty umarł.

Klaus zachwiał się, gdy te słowa po raz kolejny rozbrzmiały w jego głowie. Oparł rękę o ścianę. Przypuszczał, że powinien być się odezwać, w jakiś sposób skomentować słowa ojca, ale nie zrobił tego. Rodzice także nic więcej nie powiedzieli.

Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby się nie narodził? Klaus wzdrygnął się, oderwał rękę od ściany. Zaskoczyło go, że była lepka i pokryta cienką warstwą czarnej materii, ale zignorował to.

Minął rok. Cały rok odosobnienia. Czy po tym wszystkim dało się wrócić do normalnego życia?

Klaus przekroczył próg salonu. Zauważył uschłą choinkę, przyozdobioną srebrnymi łańcuchami i czerwonymi bombkami. Na stole wciąż stała nieotworzona butelka wina. Jakby czas się zatrzymał. Pomieszczenie spowijał czarny, ciężki dym. Klaus nie wiedział, czy to rzeczywistość, czy ułuda, ale było mu wszystko jedno. Usiadł na kanapie, otworzył wino, spróbował. Miało kwaśny smak.

Spojrzał na świąteczne drzewko, które zakończyło swój żywot w tak marny sposób. Nigdy nie wiesz, który dzień będzie twoim ostatnim. Klausowi przez chwilę zdawało się, że w szklanej bombce widzi czyjeś odbicie. Nie odwrócił się, aby zobaczyć, czy ktoś za nim stoi. Zamiast tego wypił jeszcze kilka łyków wina, a potem wstał i nieco się zataczając, poszedł do pracowni.

Zatrzymał się niepewnie przed lekko uchylonymi drzwiami. Czy to odpowiedni czas, aby się z tym zmierzyć? Jego ukochany Timo był artystą. Na co dzień grał w orkiestrze, ale jego prawdziwą pasją pozostało rzeźbienie w metalu. Miał obsesję na punkcie stworzenia naturalnej wielkości figury renifera.

Prawie mu się to udało... Klaus uchylił szerzej drzwi i przystanął strwożony w progu. Nie miał odwagi wejść do środka. Widział jedynie zarysy rzeźby. Z jego perspektywy zwierzę wyglądało, jakby szykowało się do ataku. Wiedział, że renifer w zamyśle twórcy miał po prostu skubać nieistniejącą trawę, ale i tak zrobiło mu się słabo.

Zbyt wiele razy widział rzeźbę w swoich sennych koszmarach.

– Czemu zrobiłeś to poroże takie ostre? – rzucił pytanie w pustkę. – Dlaczego?

Wydawało mu się, że zwierzę zareagowało na słowa. Podobnie jak robiło to w snach. Prostowało się, dumnie i milczące, a z jego rogów wolno ściekała krew.

Nie mógł dłużej na to patrzeć. Zatrzasnął drzwi i wrócił do salonu. Wściekły chwycił butelkę z resztką wina i roztrzaskał ją o ścianę. Dźwięk tłuczonego szkła rozbrzmiał w cichym pomieszczeniu niczym najgorszy wyrzut sumienia. Gdzieś w oddali ktoś się zaśmiał. Czerwona plama na tapecie ułożyła się w kształt dziurki od klucza, by chwilę później z sykiem wyparować.

Klaus usiadł na kanapie. Nie chciał iść na piętro, zbyt wiele wspomnień wiązało się z tamtymi pomieszczeniami. Zwinął się w kłębek, objął rękoma nogi i zamknął oczy, mając nadzieję, że sen szybko nadejdzie.

Udało mu się usnąć dopiero po kilku godzinach leżenia bez ruchu, chwilę po tym, jak ktoś delikatnie pogładził go po policzku.

Klaus obudził się, gdy było jeszcze ciemno. Spojrzał na zegarek, zielone cyfry na wyświetlaczu wskazywały, że jest szósta rano. Nie chciało mu się już spać, więc wziął szybki prysznic i poszedł do kuchni. Znalazł na półce resztkę kawy, wyspał do ekspresu. Gdy otworzył szafkę w poszukiwaniu kubka, jego wzrok padł na szklanę w niebiesko-czarne pasy. Ulubiony kubek Timo...

Zatrzasnął z hukiem drzwiczki, zrezygnował z picia kawy. Powłókł się powoli do salonu, spojrzał na obumarłe drzewko. Wypadałoby coś z tym zrobić. Posprzątać, poukładać rzeczy, zająć się normalnym życiem. Ale nie dziś, jeszcze nie dziś.

Gdy Klaus mył zęby w łazience, zauważył na policzku dziwne wypukłe znamię. Przyjrzał się mu bliżej. Zdawało mu się, że przypomina swoim kształtem klucz. Nie pamiętał, kiedy się zranił. Może któryś z pacjentów wyrzył mu na twarzy ten osobliwy znak? Tuż przed opuszczeniem szpitala był zbyt zdenerwowany i zaaferowany sytuacją, aby cokolwiek zauważyć.

Wychodząc z łazienki, rzucił okiem w kierunku schodów na piętro. Pokrywała je delikatna warstwa czarnego, połyskliwego kurzu. W powietrzu unosił się szary dym, który kotłował się i poruszał w harmonijnym i jednocześnie chaotycznym tempie. Klaus czuł, że zaprasza go do siebie.

Wyciągnął dłoń, dym otulił przyjemnie jego ciało. Zdawało mu się, że czuje na skórze czyjeś palce. Gdy cofnął rękę, wrażenie nie opuściło go. Jakby ktoś cały czas stał przy nim. Nie była to przyjazna obecność, ale Klaus nie czuł strachu. Przypuszczał, że mogą sobie wzajemnie pomóc.

Oglądał uważnie swoją dłoń. Skóra zrobiła się bledsza, zimna. Dopiero wtedy Klaus poczuł, jak lodowato było w całym domu. Wcześniej jakoś nie zwrócił na to uwagi. Odwrócił się, spojrzął na drzwi prowadzące do pracowni. Wydawało mu się, że pod drzwiami przesącza się krew, choć oczywiście musiało być to złudzenie.

Albo zwyczajne wspomnienia. Jedno z dwóch. O co się wtedy pokłócili z Timo? To śmieszne, bo nawet nie pamiętał.

Ruszył w kierunku schodów, zanurzył się całkowicie w dymie, pozwolił mu otoczyć swoje ciało, objąć, wnikać do ust, nosa, oczu. Wewnątrz było miło, ciepło. Pachniało czymś dawnym, nieuchwytnym. Dym szybko rozrzedził się, ale uczucie zostało z Klausem do końca, gdy pokonywał kolejne stopnie, aby stanąć na progu sypialni.

Tutaj Timo trzymał swoją najcenniejszą rzecz. Ukochane skrzypce.

Drzwi były lekko uchylone. Klaus otworzył je szerzej, zapalił światło. Zauważył świąteczne ozdoby, które razem z ukochanym wybierali i powiesili. Barwne lampki, lampiony z papieru, zdobione w mikołaje i choinki, własnoręcznie wykonane bombki. Obaj kochali kolory i świąteczną atmosferę.

Teraz widział jedynie koszmar. Wiszące pod sufitem postaci. Powykręcane truchła zwierząt. Ogniste kule. Istnieją czyny, których nie da się wybaczyć. A co z odkupieniem? Może nie było jeszcze za późno?

Wszystkie dekoracje pokrywała gęsta, smolista substancja. Najwięcej skupiło się wokół futerału skrzypiec. Instrument na szczęście był czysty. Klaus wyjął go ostrożnie, pogładził delikatnie drewno, przycisnął policzek do strun. Cieszył się, że przetrwał.

Timo zawsze powtarzał, że w drewnie skrzypiec ukrył fragment swojej duszy. Klaus położył się na łóżku, objął instrument, przycisnął go do siebie. Skrzypce pachniały delikatnie popiołem i smołą, były ciepłe i gładkie. Klaus pocałował gryf i wtulając w niego policzek, prawie natychmiast zasnął.

* * *

Klausowi śniło się, że tonie w pustce. Ale w pustce wypełnionej nie ciemnością i mrokiem, a bielą. Miękkimi, gładkimi w dotyku, kwadratowymi elementami, którymi wyłożono ściany i podłogę. Sterylnie białą pościelą. Białym fartuchem, który szczelnie owija ciało i nie pozwala się ruszyć.

Obudził się mokry od potu. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie się znajduje, potem sobie przypomniał. Spojrzał na skrzypce, które wciąż ścisnął w dłoniach. Nigdy nie nauczył się grać, ale nagle zapragnął spróbować. Może uda mu się przywrócić do życia wspomnienia. Dawniej ponoć wierzono, że w Święta duchy obserwują żyjących ludzi. A nuż to prawda.

Oparł skrzypce na ramieniu, chwycił w drżącą dłoń smyczek. Przeciągnął nim po strunach. Rzępolący odgłos sprawił, że aż zazgrzytał zębami. Jednak nie poddał się i po chwili zrozumiał, co powinien zrobić. Niewidzialna siła poprowadziła jego dłonie na odpowiednie tory. Wiedział, jak ma ułożyć palce, jak mocno docisnąć smyczek.

Dźwięki przybrały kształt *Cichej Nocy*, ich ulubionej kolędy. Uśmiechnął się. Dym skupił się wokół niego, otulił go miękkim całunem. Klausowi wydawało się, że czuje zimny oddech na karku.

Wkrótce utracił kontrolę nad melodią, która zaczęła żyć własnym życiem. Stała się głębsza, dziksza, prawie szalona. Od grania rozboleły go dłonie, czuł, że cieknie po nich krew. Krwawił także z nosa, oczu i uszu. Mimo to nie przestał. Czuł czyjąś obecność. Im bardziej obłąkana stawała się muzyka, tym mocniejsze było wrażenie.

– Brama... się otwiera... – usłyszał chrapliwy głos. Rozglądnął się, ale nikogo nie było w pobliżu.

Kręciło mu się w głowie, prawie zemdlął ze zmęczenia. Wkrótce jednak ich zobaczył. Wokoło zaroilo się od duchów. Kobiety, mężczyźni, dzieci, nawet jedno kwilące w kołysce niemowlę. Część osób nosiła stroje z dawnej epoki, inni byli ubrani współcześnie.

Wiszące pod sufitem świąteczne lampki zaświeciły się. Smolista substancja z głośnym sykiem wyparowała. Jak na komendę włączyły się działające na baterie ozdoby. Tańczące anioły, śmiejący się Mikołaj i poruszające się z gracją renifery, ciągnące jego sanie.

Klaus wdrygnął się na ten widok. Opuścił pokój i nie przestając grać, ruszył w dół schodów. Usłyszał, jak zegar wybija północ. Było Boże Narodzenie! Roześmiał się. Mimo zmęczenia i krwi zalewającej mu twarz czuł się jak nowo narodzony.

– Widzę cię... Twój ból... Jesteś kluczem...

Spojrzał na skrzypce. Urzekająca, szalona melodia wytwarzała drgania, które przemieszczały się w powietrzu. Prowadziły go do salonu. Mijał duchy, które stały się bardziej cielesne. Trącały go po ramionach, próbowały zastąpić drogę, błagały o wysłuchanie. Klaus nie zwracał na nie uwagi. Szukał tylko jednej osoby.

– Błagam cię... Pomóż mi...

Wszedł do salonu. Fale dźwiękowe momentalnie rozbiegły się po pomieszczeniu, pod ich naporem choinka ożyła. Igły stały się ponownie zielone i sprężyste, pień zdrewniał i wyprostował się. Brudne talerze i półmiski, leżące na stole, napełniły się świeżymi, jeszcze parującymi potrawami. W kominku zapłonął ogień.

W chwili, gdy pokój się zmieniał, Klaus poczuł się wyjątkowo słabo. Opadł na kanapę, ale coś nie pozwalało mu przestać grać. Spojrzał na skrzypce. Nie były już zrobione z drewna, a z mięśni i skóry. Stały się przedłużeniem jego ręki. Przeniósł wzrok na swoje ciało. Przeraziło go to, co zobaczył. W kwadrans schudł chyba o kilkanaście kilo. Ubranie, które całkiem utraciło kolory, wisiało na nim jak worek pokutny.

Spróbował odrzucić skrzypce. Nic z tego. Nie miał już nad nimi kontroli. Było tylko jedno miejsce, gdzie wszystko mogło się wyjaśnić. Ślaniając się na nogach, dotarł do pracowni. Kopnął w drzwi, aby je otworzyć. Widział jak w strudze energii, płynącej z jego wnętrza, unoszą się fragmenty ciała i krople krwi. Ciemność, jaką nagle dojrzał wokół siebie, była tak straszna, jak nigdy wcześniej.

Naraz jednak o tym zapomniał. Zobaczył stojącą obok rzeźby renifera niewyraźną postać. Od razu ją rozpoznał. To dodało mu sił, aby dokończyć utwór. Zrozumiał, jaką otrzyma nagrodę.

Melodia rozdzierała na kawałki jego ciało i używała jako materiału do zbudowania czegoś zupełnie nowego. Miło było dla odmiany coś stworzyć, zamiast tylko niszczyć. Klaus uśmiechnął się z wysiłkiem, gdy usłyszał głębokie zaczerpnięcie oddechu. Czyli nie kłamali. Cuda zdarzały się naprawdę.

Potworna fala bólu ogarnęła go na kilkanaście sekund, potem nie czuł już nic. Zmęczenie odeszło. Teraz mógł grać praktycznie bez wysiłku. Uświadomił sobie jednak, że nie słyszy dźwięków. Spojrzał pod nogi. Zobaczył powykęcane, wyschłe na wiór ciało. Postać ścisnęła coś w rękach.

Dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy.

Carmen Wiłomska

Dzień wolny

Newski Prospekt

Robotnikom nie trafiało się wiele wolnego, chyba że nadarzyła się wyjątkowa okazja, jak Święta lub urodziny kogoś ważnego. Dzisiaj solenizantami byli księżna Olga i cesarzewicz Aleksy. Cholerne bliźnięta urodzone w purpurze, a na Newskim Prospekcie mnóstwo carskiej policji w cywilu i donosiciele za trzy kopiejki. Alosza Mikolski, uczeń tokarza w zakładach Putiłowa, miał dzisiaj kilka ważnych spraw do załatwienia i świętujący tłum mu przeszkadzał. Co prawda wśród ludzi łatwo było się zgubić, ale Alosza odnosił wrażenie, że za bardzo się wyróżniał. Przeważały eleganckie damy w futrach (podobno noszące jako bieliznę holenderskie koronki), służące i dzieci, panowie z wąsem na cara, gońcy i co bardziej znamienite osobistości miasta z całą świtą. Tutaj Alosza nie pasował, nie miał nawet odświętnego płaszcza. Światła, pokrzykiwania ludzi, *Boże cara chrani*, to było nieznośne. Marzył o dniu jutrzejszym, gdy wróci do znajomych twarzy i zgiełku fabryki.

Kilka następnych kroków, coraz mniej ludzi. Zamiast dam w futrach i młodzieńców w paradnych mundurach zaledwie kilku gońców. Eleganckie sklepy również gdzieś zniknęły, nie było koni ani mknących powozów. Newski Prospekt stał pusty, gdy młodzieniec rozejrzał się dookoła.

Coś otarło się o jego nogę. Na brudnym, szarym śniegu dreptał kot, czarny zwierz z poszarpanym uchem.

– Zniknąłem tych ludzi – rzekł kot, liżąc łapę. – Za bardzo hałasowali.

Miał bursztynowe oczy. Gadający kot, coś takiego.

– Też nie lubię tego hałasu.

– Czy pytałem o twoją opinię? – Zwierz dalej czyścił łapki.

Alosza przykucnął, aby bliżej przyjrzeć się niezwykłemu towarzyszowi. Gadający kot spotykał wielu ludzi na drodze. Te dwunożne istoty przeważnie nie zauważały istnienia świata niematerialnego, skupione za bardzo na swoich małych sprawach. Większość walczyła o przeżycie. Inni ginęli w imię różnych idei.

– Przepraszam. Nie przedstawiłem się – odparł młodzieniec. – Alosza.

Bursztynowe oczy kota wciąż patrzyły na niego, widząc każdy zły uczynek Aloszy Mikolskiego. Nielegalna produkcja broni, agitacja, spiskowanie przeciwko carskiej władzy. I oto dlaczego kot przyszedł do świata materialnego, do miasta Petersburg.

– Jestem duchem przeszłych Świąt – odparł zwierz z poszarpanym uchem. Na to Aleksy roześmiał się, gdyż był zaledwie początek listopada, ale kot machnął ogonem. Zaczął prószyć gęsty, biały śnieg.

Co ujrzał rozmówca dziwnego kota?

Chłopiec bawi się kolejką elektryczną, pod ścianą drzemie barczysty marynarz, opiekun. Cztery dziewczęta w odświętnych sukniach również towarzyszą mu w zabawie. Długo słyhać ich śmiech, jak dzwoneczki oddalających się sań.

Alosza nie do końca rozumiał, co właśnie zobaczył. Czy to wspomnienie z dzieciństwa? Czy może padł ofiarą przewrotnego kociego żartu, ujawniającego jego tajemnicę?

Sypiący śnieg był mokry i lepki, wpadał za kołnierz płaszcza.

– Co to ma znaczyć? – zapytał rozgniewany chłopak, tłumiąc w głowie nieprzyjemne myśli. Ktoś obejrzał się za nim, ktoś inny wzruszył ramionami. Rozejrzał się po obojętnym tłumie zabieganych ludzi.

Kota jednak nigdzie nie było, a Alosza westchnął ciężko i wsunął zmarznięte ręce do kieszeni. Zapewne gadający zwierz był prawdziwy, tylko ci wszyscy ludzie dookoła widzieli zwykłego dachowca.

Cerkiew na Krwi

Czy wiara w gadające koty jest tak niedorzeczna, jak oderwanie od rzeczywistości carskiej rodziny? Złoczone kopuły soboru dominowały nad okolicznymi budynkami, różnokolorowe wieżyczki o fantazyjnych kształtach z pewnością stanowiły dzieła sztuki. Ale wszystkie dzieła sztuki należały do bogatych, podczas gdy zdobycie chleba i opału graniczyło z cudem.

Obrazami można napalić w piecu, a za stare książki u handlarza dostawało się kilka kopiejek. Kultura powinna być dostępna dla wszystkich, jednak Aloszy nie

było stać na pójście do teatru czy całodniowe przesiadywanie wśród eleganckiego towarzystwa. Zresztą nie miałby na to najmniejszej ochoty.

Sojusz tronu i ołtarza, strzeliste wieże oblane złotem jak ciastko z lukrem, to wszystko miało onieśmiać, przypominać przechodniom o potędze caratu, a może było próbą przebłagania za bomby rzucone pod carski powóz?

Alosza urodził się zbyt późno, by poznać dwóch poprzednich carów. Obecny siedział gdzieś na froncie, prowadził swoją wojnę cesarzy, a do uszu Aloszy dochodziły jedynie wieści o poległych w walce towarzyszach. Mimo to wciąż pracował w fabryce, uświadamiał klasowo innych. Nie wszyscy dożyją dobrych czasów zwycięstwa rewolucji.

Przystojny oficer Katii zaginął na froncie. W oddziale brata Lizy narastał bunt, chłopaka podobno rozstrzelano za próbę dezercji. Liza wciąż wierzyła, że żyje. Jej narzeczony zmarł na tyfus. W tym czasie każdy stracił coś cennego.

Pewnego dnia wszyscy staną się bratnim narodem, który ogarnie cały świat, a bój to będzie ich ostatni.

Zawiał wiatr, młody uczeń tokarza wbił zmarzniętą rękę w kieszenie płaszcza. Czapkę miał naciągniętą na uszy, ale i tak czuł przenikliwe zimno, od strony Newy nadszedł podmuch arktycznego powietrza. Podobnie jak na Newskim Prospekcie, wszystko dookoła ucichło, a ludzie zniknęli.

Naprzeciwko niego pojawił się czarny kot z bursztynowymi oczami. Chłopak mógłby przysiąc, że to ten sam kot, jednak poszarpane miał drugie ucho, jak lustrzane odbicie spotkanego wcześniej zwierzaka. Ten wydawał się bardziej rozmowny.

– Zatem spotkałeś mojego brata, Alosza – zaczął kot, siadając na bruku. – Pewnie przedstawił się jako duch przeszłych Świąt.

Zwierz, patrząc na podniesione ze zdziwienia brwi młodzieńca, zaśmiał się jak hiena. Tak, był na Newskim Prospekcie, ale zdecydował się nie ujawniać swojej obecności od razu.

– Jest was więcej? – zadał głupie pytanie Alosza. Ten kot miał naturę łobuza, jego oczy błyskały figlarnie. Coś podpowiadało chłopakowi, że to duch terazniejszych Świąt. – Interesujące.

– Tylko nas dwóch – zaznaczył zwierzak i potarł wąsami o bruk. Strzeliły wesołe iskry, jak z obrabianego metalu. – Wbrew temu, co myślisz, nie jestem duchem terazniejszych Świąt.

Alosza złapał jedną iskrę. Była ciepła, ale nie parzyła. Zamigotała i zgasła natychmiast.

Widzi siebie, Lizę i Katię na ślizgawce. Z oddali macha mu dziewczynka w czerwonym płaszczu. Śmieją się razem i żartują, a potem we trójkę idą do cerkwi na nabożeństwo, całonocne czuwanie. Światła świec, uroczyste śpiewy i powrót do domu nad ranem, to uczucie religijnego uniesienia.

Wszystko to było fałszywe. Otworzył oczy.

– Nie chodź do cerkwi, kocie. – Usiadł na bruku przy futrzaku. – Niezły z ciebie gałgan.

Kot zmruczył oczy. Znów potarł wąsami o bruk, znów strzeliły iskry jak spod kowalskiego młota.

Huk fabrycznych maszyn, pokrzykiwania robotników obsługujących tokarkę. Nawet w ten świąteczny dzień praca wre. Czy nie należy im się odpoczynek? Zapada decyzja o strajku. Chłopcy odstępują od pracy, a z drewnianych skrzynek wyciągają świąteczne przysmaki. Wszyscy dzielą

się chlebem, kutią, ktoś przyniósł zupę, jeszcze ktoś inny ma orzechy z miodem. Nawet majstrowie i inżynierowie dołączają do wspólnego posiłku. Z hali fabrycznej dochodzą wesołe śpiewy.

– Podobało się? – zapytał kot, wrywając Aloszę z rozmarzenia. – Mogę pokazać ci wiele wizji terażniejszych Świąt, jedną piękniejszą od drugiej.

– Dziękuję – powiedział wzruszony młodzieniec. – Wolę zachować obecną w pamięci.

Figlarny kot otarł się o jego nogę, po czym zniknął.

Patrząc na cerkiew, Alosza postanowił wejść do środka. Po raz pierwszy od dawna.

Dwa koty, jeden figlarny, a drugi o przenikliwym spojrzeniu, zameldowały swemu przełożonemu, bo-skiemu Contortusowi, o wykonaniu zadania.

Prospekt Pałacowy

Tutaj mieszkali najbogatsi mieszkańcy Pitra. Pałac Zimowy, rezydencje wielkich książąt, arystokratów. Tutaj bawili najbardziej znamienici goście. Tutaj wciąż odbywały się bale, wieczory poetyckie, recitale muzyczne. Tutaj żyło się dobrze.

Naprzeciwko pałaców stała twierdza Pietropawłowska.

Tam życie spędzali wrogowie carskiego reżimu. Walczący Polacy, carobójcy, socjaliści, spiskowcy, ludzie pragnący wolności. Tutaj wciąż używało się knuta, w nocy i w dzień biegały szczury, kogoś powiesili na szubienicy. Tutaj żyło się niezbyt dobrze.

Na samym szczycie iglicy soboru Piotra i Pawła siedział mężczyzna, niczym nieróżniący się od towarzysza

Lenina, z wyjątkiem jednego małego szczegółu: miał dziurę na środku czoła. To ślad po zabójczej kuli pewnego Fina, osobistego agenta cara.

Otóż w roku 1913 żona Iljicza wymagała pilnej operacji tarczycy w Szwajcarii, a długa rekonwalescencja przyniosła carskiemu agentowi do zadań specjalnych możliwość realizacji swej misji. Lenin zginął, ale stworzona przez niego ideologia oraz partia bolszewicka nie straciły na sile, wręcz przeciwnie.

Złośliwy duch przeleciał nad miastem, kierując się w stronę pewnej kamienicy w dzielnicy Wyborskiej. To tam pod fałszywym nazwiskiem ukrywał się Jakow Swierdłow. Wraz z Janklem Jurowskim postanowili przyzwać zmarłego towarzysza. Jankiel, jako medium, ręce trzymał nad specjalną tablicą do wywoływania duchów.

W migotliwym świetle świec pojawił się Lenin jak żywy. Unosił się kilka centymetrów nad podłogą.

– Jestem duchem przyszłych Świąt – powiedział głosem Jurowskiego. – Przybyłem, aby was pocieszyć, towarzysze.

Do oczu dwójki mężczyzn napłynęły łzy wzruszenia, nawet absurdalna gadka o duchach Świąt wydała się teraz bez znaczenia. Gdyby znali nauki syberyjskich szamanów, wiedzieliby, że ludzie z dziurami w czaszce mogą komunikować się z duchami, a świat materialny i niematerialny nawzajem się przenikają.

Obaj mężczyźni doznali wizji przyszłości.

Są to piękne rzeczy: otoczony dziećmi i wnukami Jurowski siedzi na głębokim fotelu, pijąc ulubioną herbatę. Jest tutaj jego zięć, ukochana córka i dwóch synów. Wnuki piszczą z radości, gdy rozpoczyna się rozpakowywanie prezentów. Na zewnątrz pada śnieg, a pierwsza gwiazdka pojawia się na horyzoncie.

Swierdłłow widzi pudelko z obrazkami. Jest połowa listopada, urodziny carskiej córki i syna. W pudelku pojawia się zaśnieżony krajobraz i wielka, czerwona ciężarówka z napisem: Coca-Cola. Rozlega się wesoly śpiew, odgłos świątecznych dzwonków, a brodaty mężczyzna w biało-czerwonym stroju życzy wszystkim Wesolych Świąt.

Trzy świąteczne duchy zaśmiały się do rozpuku, świece zgasły, a nad Piotrogradem zapadła noc. Gdzieś daleko dwa koty zameldowały swemu przełożonemu wykonanie zadania.

Ślizgawka

W parku na Aloszę już czekała Liza – odważna dziewczyna o wielkich niebieskich oczach i z długim warkoczem, który nosiła tak dumnie, jak imperatorowa Aleksandra Fiodorowna swą carską koronę.

– Ciekawe, czy do posiłku siadają w koronie – zagadnęła swoją starą znajomą, a ta dała mu szturchańca w bok.

– Burżuazja bawi się w malowanych pałacach, kiedy my nie mamy za co chleba kupić – stwierdziła, co jak na nią było i tak zaskakująco delikatne.

Liza znana była z tego, że na uniwersytecie podejmowała tematy niesprawiedliwości społecznej. Zawsze wracała, gdy wyrzucano ją z wykładów, i miewała kłopoty z carską policją jak niejeden wolny i niezależny umysł.

– Już niedługo przepadnie stary, podły świat. – Śnieg chrupał pod ich nogami. – Już niedługo.

Na ślizgawce w parku bawiły się przeważnie dzieci lub roześmiane grupki dziewcząt. Chłopców było niewiele. Dorośli albo pilnowali swoich pociech, albo rozmawiali między sobą. Wieści z frontu przybywa-

ło, młodych ubywało, a na twarzach ludzi Alosza nie widział entuzjazmu sprzed roku. Nikt nie wiwatował, nie śpiewano *Boże, chroń cara*. Ludzie byli niespokojni, poirytowani. Do prawdziwego gniewu, iskry, która według Jakowa Swierdłowa miała wywołać pożar, zdawało się daleko. Rosja dojrzywała do rewolucji.

Coś pociągnęło go w dół, do równej powierzchni, gdzie bawili się spacerowicze. Ślizgano się, kilka osób leżało, tam i ówdzie wspólnie pomagano sobie wstać i na nowo rozpoczynano zabawę. Alosza nie od razu złapał równowagę, a w pobliżu usłyszał znajomy śmiech.

– Liza! – Była to Katia, która pomagała w szpitalu przy chorych. Liza wciąż zastanawiała się, czy nie pojechać na front, do rannych, ale sprawy w Pitrze ją zatrzymały. Dziewczęta czuły się dumne, mogąc pokazać się na ślizgawce z młodym uczniem tokarza. Żadne z nich nie miało łyżew czy nawet porządnego obuwia.

W oddali ktoś energicznie pomachał ręką, ale Alosza tego nie zauważył, skupiony na utrzymaniu równowagi i podniszczonych butach osób na ślizgawce.

Liza była pierwsza, z gracją wysunęła się na czoło ich trójki, za nią ślizgał się Alosza trzymający za rękę Katię. Na początku Liza pędziła za szybko, Alosza zgubił rytm, a Katię ciągnął za sobą.

Cała trójka zaczęła się śmiać, gdy Liza wyrzuciła się, a wraz z nią pozostali. Na ślizgawce spędzili dużo czasu, aż do zapadnięcia zmroku. Styczniowe dni bywały krótkie i zimne, a w oknach kamienic paliły się światła, szykowano się do świętowania Narodzenia Pańskiego.

Zamykając oczy, Alosza mógł sobie wyobrazić zapach siana pod najlepszym obrusem należącym do gospodyni, gości siadających na krzesłach nakrytych kapami, gdzie również umieszczono siano. Woskowe

świecie wetknięte w naczynia z pszenicą oraz najbardziej wykwintne potrawy świąteczne, przygotowane przez panią domu lub służbę. Na środku stołu potrawa z maku, z miodem i orzechami – kutia, jako dziękczynienie za przeżyty rok i obfitość potraw. Tak jedli bogaci, ciemężyciele i uciskający prostych ludzi wyzyskiwacze. Smak miodu wydał się Aloszy tak wstrętny, że splunął wyimaginowaną goryczą na chodnik.

Katia widziała smutnych żołnierzy walczących za cara i ojczyznę, ciężko rannych, samotnych i opuszczonych. Wielkie było ich poświęcenie, ale czuli się rozgoryczeni, pozbawieni entuzjazmu wobec wojny, okrucieństw i okopowej gorączki. Tyfusowe wszy trafiły nawet do Pitra, tu i ówdzie ktoś umierał na tyfus plamisty. Nie wszyscy byli smutni, u niektórych mężczyzn dało się wyczuć złość. Wśród jęków i krzyków słyszano także inne głosy. Należały do kalek ukradkiem palących papierosy, szepczących półgłosem o zemście ludu, o nowym porządku.

Dzisiaj szpital odwiedziła delegacja z Czerwonego Krzyża.

* * *

Zawartość paczek z towarzystwa dobroczynnego wzbudziła w pacjentach ogólne poruszenie. Eleganckie damy i ważne osoby nawet nie zainteresowały się rannymi na sali.

– Wiesz, co nam dali na pociechę? – zapytał Katii ładny chłopak z pustym rękawem, pojękując cicho, gdy zmieniał pozycję. – Obrazek.

Wyciągnęła z kieszeni płaszcza podarty kawałek papieru. Alosza znał te obrazki. Patriotyczno-religijne

bzdury. Cztery podobne do siebie księżniczki, dumna imperatorowa i biały car o obojętnym na wszystko spojrzeniu. No i chłopiec. On.

Lizie przypomniały się długie godziny krążenia po Pitrze w poszukiwaniu mąki po mniejszej cenie niż rubel za pół puda. Oczywiście tak źle jeszcze nie było, żeby musiała płacić tymi wstrętnymi pieniędzmi z wizerunkiem białego cara za worek trefnej mąki, ale wszechobecne twarze kobiet w chustach, przemierzających miasto wzdłuż i wszerz, były dla Lizy tym, co zapamiętała z przemijającego roku. Towarzysze obiecywali, że walka dobiega końca, że gdy zwycięży sprawiedliwość, skończą się braki w dostawach, drożyzna, a chleba starczy dla wszystkich. Ta wizja przyszłości dodawała Lizie otuchy. Nie przepadała za Świętami, miała tylko jedno miłe wspomnienie. Cztery przedmioty, które zawsze były na stole: czosnek dla zdrowia, chleb jako pożywienie, sól dla dostatku, miód na osłodę.

– Kochane – odezwał do nich Alosza. – Żadne z nas nie pójdzie na nocne czuwanie do cerkwi, a ranni towarzysze samotnie spędzą ten wieczór.

Liza się wahała, ale Katia spiorunowała go wzrokiem.

– Tylko żadnej agitacji – ostrzegła go. – Zachowaj swoje broszurki dla chłopaków w fabryce.

Niezadowolenie w mieście rosło dzień po dniu, zamiast agitacji lepszy efekt dawały plotki o carowej i Rasputinie. Ten szalony mnich, którego widywano na orgiach z szacownymi damami dworu, był jak wygrana na loterii i jego poczynania zwiększały niechęć ludu do Romanowów.

Dziewczyny świdrowały go spojrzeniem i młody uczeń tokarza obiecał: żadnej agitacji.

Ktoś nawoływał jego imię. Była to młoda osoba w czerwonym płaszczku, córka sąsiadów Aloszy. Mieszkał kątem u dobrych ludzi na poddaszu kamienicy na Wyspie Wasilewskiej.

Dobrzy ludzie byli sympatykami socjalistów, a pomieszkujący mieli tam zakonspirowany lokal.

– Przyszłam pożyczyć świece – powiedziała zagadkowo dziewczynka w czerwonym płaszczku. To oznaczało jedno, Jankiel będzie gościł na Wyspie Wasilewskiej.

Tutaj Katia i Liza pożegnały się z Aloszą, bo choć Jurowski był sercem partii bolszewików, nawet Liza uważała go za zbyt radykalnego i czas ten chciała poświęcić przyjaciółce oraz rannym żołnierzom. Alosza pokazał się późnym wieczorem i Liza już wiedziała, że szykują strajk w zakładach Putiłowa. Mimo to cała trójka miło spędziła świąteczny wieczór, dotrzymując rannym żołnierzom towarzystwa. Alosza nie dał się wciągnąć w niebezpieczne rozmowy.

Szary wilk obserwujący wydarzenia świątecznej nocy w Piotrogradzie roku 1915 przeciągnął się na dachu Pałacu Zimowego. Contortus lubił te Święta, zawsze dbał o to, aby znaleźć czas wśród boskich obowiązków na Boże Narodzenie.

Artur Siwek

Co chciałbyś zmienić?

140.

Ile razy jeszcze

Samotne święta

Będą pełne

Alkoholowych przemyśleń

Ile razy można próbować

Ile razy wierzyć

Ile marzeń można zbudować

Na ustach niespodziewanie

Składających się do pocałunku.

Arthur Grizzle, *Wiersze młodzieńcze*

Siedział w swoim azylu o wymiarach dwa i pół na trzy i pół metra, po raz kolejny słuchając powalającej świeżością, a jednocześnie do bólu tradycyjnej płyty *Script for a Jester's Tear*. Wigilia. Jeszcze niedawno kojarzyła mu się z gwarem i śmiechem, zapachem barszczu i smakiem makówek, prezentami rozdawanymi przez Mikołaja i nocną jazdą saniami na pasterkę. Tego dnia

była samotnie celebrowana przy muzyce, alkoholu i w oparach tytoniowego dymu.

Po śmierci taty jeszcze dwa razy wzięli z mamą udział w rodzinnej Wigilii; za każdym razem świętowanie Bożego Narodzenia wzbudzało w nich irytację siostry mamy, widząc ich reakcje, co rusz dawały do zrozumienia, że psują świąteczny nastrój. I pewnie trwaliby w takim niedopowiedzeniu dłużej, gdyby nie jego występ trzy lata wcześniej.

Wstał z fotela, aby zmienić kasetę, i podszedł do okna. Spojrzał w ciemność za szybą, a ta wciągnęła go jak zwykle w swoje objęcia. Usiadł na parapecie, wpatrując się w zamglone światła ulicznych latarni. Lubił tę późną godzinę, kiedy miasto zasypia, a budzi się nadzieja. Noc była jego przyjacielem. W nocy mógł zostać sam na sam ze sobą i swoją muzyką. Nikt mu nie przeszkadzał. Wsłuchiwał się w monumentalne dźwięki *Close to the Edge* i mając z jednej strony chłodną ciemność nocy, a z drugiej oświetlony, ciepły pokój, czuł się jak na krawędzi dwóch światów. Wspomnienia wróciły ze wzmożoną siłą i nawet noc nie potrafiła ukryć tej cholernej samotności.

Do dupy to wszystko – pomyślał.

– Chciałbyś coś zmienić? – Z pokoju dotarł do Krzyśka dobrze znany głos, którego nie słyszał już od wielu lat.

Nie odwrócił się. Wbijając intensywnie wzrok w ciemność za oknem, bał się, że gdy spojrzy do środka, zobaczy jedynie pusty pokój.

– Tylko jedną rzecz – odpowiedział.

– Tego akurat nie da się cofnąć. Śmierć w tym świecie jest ostateczna. Ale skutki waszych ludzkich decyzji można zmieniać. Dla kogoś, kto dysponuje

właściwą technologią, sprowadza się to do wyboru odpowiedniego stanu wszechświata.

– „Waszych”?

– Kiedy umierasz, przestajesz być człowiekiem. – Głos zawisł niedokończonym zdaniem.

Krzysiek odwrócił głowę i ogarnął wzrokiem pokój z przekonaniem, że tak jak kilka minut temu, tak i teraz jest pusty. Nie był. Tata siedział w swobodnej pozie na fotelu i właśnie zaciągał się papierosem. Takiego go pamiętał – uśmiechniętego, luzackiego i zawsze pewnego siebie. Myśli rozsadały Krzyskowi głowę, emocje targały sercem, ale rozum nakazał zignorować wszystkie banalne pytania.

– I kim się wtedy stajesz? – kontynuował.

– Najbardziej adekwatnym określeniem jest to, że stajesz się Bytem. I nie próbuj nawet myśleć o nim jak o duszy. Byt to coś, co istnieje, ale nie jestem w stanie opisać go słowami „jak”, „gdzie” i „kiedy”.

– Powiesz mi, jak tam jest?

– Nie...

To nie było przeczenie zamykające temat, Krzysztof czekał więc na ciąg dalszy.

– Nie dlatego, że nie chcę. Bardzo bym chciał ci o tym opowiedzieć, ale w twoim języku nie ma słów ani pojęć, które chociaż w przybliżeniu odpowiadałyby tamtej rzeczywistości.

– Czy my... ja, mama i inni... trafimy po śmierci tam, gdzie ty?

– Tam, czyli gdzie? Znowu twoje słowa nie mają odpowiednika w moim świecie. Chciałbyś wiedzieć, co cię czeka po śmierci? Nie jestem w stanie ci odpowiedzieć.

– Spotkamy się tam?

– Byty się nie spotykają. Byty mają świadomość swojego istnienia, Byty się przenikają, przemierzając dostępne im wymiary wszechświata. Używam znanych ci słów na określenie czegoś, czego tymi słowami określić nie sposób.

– Nie odpowiedziałeś mi, czy...

– Czas ucieka – przerwał mu ojciec. – Jestem tu, aby poznać twoją odpowiedź na pytanie: czy chciałbyś coś zmienić?

Krzysztof pomyślał o tym nieszczęsnym *in vitro*, o upartej kobiecie i o ustach, których nie pocałował. Gdzieś głęboko w duszy pojawiło się dawno zapomniane uczucie.

* * *

– Tego całego inwitra to powinni zakazać. Kto to widział, żeby człowieka w próbowce robić.

Większość obecnych przy stole pokiwała głowami z aprobatą, ale nikt się nie odezwał. Wiadomo, że ciotka Leokadia potrafi zrugać nawet tych, którzy się z nią zgadzali.

– A jak się powinno robić człowieka? – spytał Krzysiek z niewinną miną. Chwilę później skrzywił się, gdy poczuł mocne kopnięcie w kostkę.

– Jak to jak? – zaperzyła się ciotka. – Po bożemu.

Pod pierzyną i na misjonarza – pomyślał sobie, ale tego już nie odważył się głośno powiedzieć, głównie ze względu na obawę o stan swojej kostki.

Ciotka rozejrzała się wkoło, poszukując oznak sprzeciwu, a gdy ich nie znalazła, powróciła w bezpieczne, kulinarne regiony.

– W tym roku gołąbeczki wyszły ci, mamusiu, szczególnie dobre. A sosik do ziemniaczków to po prostu poezja.

– Dziękuję, Lodziu. Marysia mi pomagała. – Babcia spojrzała z miłością na mamę Krzyśka. – A i grzybków tej jesieni Krzysio nabierał wyjątkowo dużo.

Ciotka popatrzyła na siostrzeńca spode łba. Jemu zaś sprawa *in vitro* jakoś nie dawała spokoju. Postanowił więc zaryzykować zdrowie i wykorzystując pełną mlaskania przerwę w konwersacji, zapytał, nie zdając sobie sprawy, czym tak naprawdę ryzykuje:

– A tak wracając jeszcze do tego *in vitro*, to nie wydaje ci się, ciociu, że Jezus mógł być właśnie takim dzieckiem z próbki?

Już sekundę później pożałował tego pytania, ciotka Leokadia wyglądała bowiem tak, jakby konsumowany właśnie pierożek z kapustą i grzybami stanął jej w gardle i postanowił ją zamordować.

– Nie bluźnij, Krzysiu – wydusiła z siebie, cała już czerwona na twarzy. – Bluźnierstwo to grzech śmiertelny.

– Ale ciociu... – Krzysztof postanowił mocniej zaciśnąć sobie pętlę na szyi. – Tak biorąc na rozum, to jest jedyny sposób, żeby zająć w ciężę bez tego... no... aktu miłosnego.

Ciotka wstała, opierając się całym prawie stukilowym ciałem o brzeg stołu. Ten zatrzęszczał niebezpiecznie, a kostka Krzyśka krzyczała, że jutro chce wizyty u ortopedy.

– Jakiego aktu? – wyszczała ciotka. – Maryja dziewica jest niepokalana i poczęła z Ducha Świętego, a ty, Krzysiu – wycełowała w niego palec wskazujący – za swoje bluźnierstwa przy wigilijnym stole będziesz się w piekle smażył! – Chwyliła krzesło za oparcie i z trzaskiem dostawiła do stołu. – Moja noga więcej w tym domu nie postanie – stwierdziła kategorycznie i dostojnym krokiem wyszła do przedpokoju.

Mama wraz z babcią udały się za nią i zaczęły przekonywać, żeby jednak została, że Krzysiu przeprosi, że młody jest i głupi jeszcze, i że pewnie chciał się popisać. Nic to nie dało, ciotka Leokadia się zawzięła i poszła do domu. Zaraz po niej pożegnał się wujek Heniek z dwójką dzieci. Zostali przy stole we czwórkę.

– Cholibka, ale się porobiło – przerwał niezręczną ciszę wujek Marek.

Mama ukradkiem wytarła łzę. Krzyskowi zrobiło się głupio i chciał przeproszać, ale wszystkie słowa, które przychodziły mu na myśl, były beznadziejne.

– Nie martwcie się – powiedziała babcia. – Złość jej przejdzie, to wróci.

 Nie wróciła.

* * *

Siedzieliśmy przy stole we czwórkę. Pierwszy raz od trzech lat widziałem na twarzy mamy coś na kształt uśmiechu. Wujek Marek brzdąkał na gitarze, mama siedziała w bujanym fotelu, głaskając kota, i wraz z Alicją śpiewała *Lulajże, Jezuniu*. Wujek wchodził niewątpliwie w fazę starokawalerstwa; trochę z własnej winy, bo żadnej ze swoich partnerek nie traktował z atencją, jakiej od niego wymagały. Wigilie spędzał więc na zmianę u każdego z trojga rodzeństwa. W tym roku wypadło na mamę. Mnie z kolei udało się nakłonić Alicję, żeby ten wieczór spędziła z nimi. Łącząc te nasze miłości – moją do Alicji i mamy, maminią do syna i brata – udało nam się stworzyć ciepłą wigilijną atmosferę z opłatkami, prezentami i śpiewaniem kołęd.

– To może jeszcze *Dzisiaj w Betlejem*, co? – zaproponował wujek, spoglądając na mnie w dziwny sposób.

– A potem w coś zagramy – dodała mama. – Może scrabble? – Pytanie retoryczne, dobrze wiedziała, że wszyscy się zgodzą. – No to zaczynaj, Marczechu.

Wujek trącił struny gitary, a kobiety się rozśpiewały. Ja coś tam nuciłem pod nosem, tak żeby nie zepsuć efektu. Popłynęły słowa kolędy.

*Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem
Wesoła nowina,
Że Panna czysta, że Panna czysta
Porodziła Syna.*

W tamtym momencie wujaszek spojrzał na mnie ponownie i mrugnął znacząco jednym okiem. *Ożeż ty, dowcipnisiu jeden* – pomyślałem.

Graliśmy drugą partyjkę scrabli – której po sromotnej porażce w pierwszej domagał się wujek Marek – gdy zobaczyłem, że Alicja dyskretnie odbiera i czyta SMS-a. Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Dokończyliśmy grę, mama z wujkiem poszli do kuchni zrobić herbatę.

– Muszę wracać do domu, Krzysiu – powiedziała Alicja, gdy zostaliśmy sami. – Teraz.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Wezwali tatę do szpitala. Wypadek autobusu. Jest wielu rannych i na pewno nie wróci tej nocy.

– Nie możesz zostać? Mieliśmy iść razem...

– Nie – przerwała mi. – Zawieź mnie, proszę, do domu. Nie chcę, żeby mama była teraz sama.

Nie było sensu ciągnąć tematu. Miała tak samo, jak ja: raz postanowione i koniec. Poszedłem do kuchni i powiedziałem mamie, że jadę odwiedzić Alicję do domu i wrócę jeszcze przed pasterką.

Nie chciałem dać tego po sobie poznać, ale byłem wkurzony. Nie personalnie na Alicję, tylko generalnie na cały świat. Zatęskniłem za papierosem. Po raz pierwszy od wielu lat nasze święta były prawdziwie świąteczne, a jakiś palant postanowił to zmienić. Wsiadliśmy do samochodu i ruszyłem z piskiem opon.

– Hej, co ty wyprawiasz?! – krzyknęła Alicja.

Zatrzymałem się i odetchnąłem kilka razy.

– Przepraszam, zirytowała mnie ta sytuacja. Nie jestem zły na ciebie. Raczej na świat, który nam organizuje takie atrakcje.

Emocje trochę opadły i spokojnie ruszyłem w drogę. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu i czekając na zielone światło, zapytałem:

– Zobaczymy się jutro?

– Nie wiem – odpowiedziała Alicja. – Zależy od tego, kiedy ojciec wróci z dyżuru. – Podniosła głowę i powiedziała: – Jedź, masz zielone.

Ruszyłem i wtedy zobaczyłem nadjeżdżający z prawej strony samochód. Kierowca pewnie myślał: „A, jeszcze zdążę”.

* * *

– Na zakończenie chciałbym wam życzyć wesołych i rodzinnych Świąt oraz wielu sukcesów w przyszłym roku. Prestiżowych publikacji, dużych grantów, mocnych patentów, że o Nagrodzie Nobla nie wspomnę. – Dziekan zakończył przemowę i wznosił lampkę wina. – Wszystkiego najlepszego.

– Uff, skończył wreszcie – szepnął Darek. – Teraz biegiem do koryta, zanim się kolejka zrobi.

Krzysztof zupełnie nie miał ochoty na jedzenie. Zrobił sobie herbatę z cytryną i poszukał wzrokiem Doroty. Stała otoczona wianuszkiem znajomych, którzy mniej lub bardziej szczerze gratulowali jej sukcesu. Wziął jakąś kanapkę i stanął z boku, obserwując gwarne tłumy jedzących, pijących oraz składających sobie życzenia ludzi. Perspektywa zbliżających się Świąt raczej go przygnębiała, a sukces, którego tak wielu zazdrościło, wcale tak bardzo nie cieszył.

– Hej, Krzysiek, wszystkiego najlepszego. – Andrzej okraślił jowialne powitanie potężnym ciosem w plecy. – No i gratuluję kasy. Miliony, miliony baksów. Cała Polska będzie wam zazdrościć takiej aparatury, a słowem roku będzie magnetoreologia.

– Dzięki, Andrzej, tobie też wszystkiego najlepszego. – Wiedział, że w tym przypadku gratulacje były szczerze. Andrzej odziedziczył spory majątek i pracę w instytucie traktował jako przyjemne hobby. Z lubością powtarzał, że w biznesie sobie nie radzi, a przecież coś fajnego trzeba w życiu robić. – Pozdrów ode mnie Irenkę i dzieciaki.

– Pozdrowię, pozdrowię. Nie daj się tam zjeść w tej Ameryce. – Klepnął go ponownie w plecy i poszedł dalej.

Krzysiek rozejrzał się raz jeszcze po sali i zobaczył zmierzającą w jego stronę Dorotę. Podeszła i uniosła kieliszek w geście toastu, stuknęli się szkłem.

– Za nasz sukces, Krzysiu.

– Za sukces – odpowiedział.

– Wczoraj wysłali zaproszenia. – Dorota wpatrywała się intensywnie w swój kieliszek. – Nie zmienisz zdania? To jest też twój projekt. Oboje poświęciliśmy mu dwa lata i tak po prostu chcesz go komuś oddać? – Podniosła wzrok. – Nie będzie ci żal? Projektu i...

– Nie – wszedł jej w słowo – nie będzie mi żal projektu, rozmawialiśmy już o tym. Wiesz, dlaczego.

Dorota podjęła jeszcze jedną desperacką próbę.

– Jedź ze mną, proszę – powiedziała, patrząc mu z nadzieją w oczy. – Zostaw przeszłość tam, gdzie jej miejsce, i zawalcz o siebie. I o nas – dodała po chwili.

Odwrócił głowę i wbił wzrok w przestrzeń za oknem. Nie wiedział, gdzie jest miejsce jego przeszłości. Nie potrafił się od niej uwolnić, bo była jednocześnie jego terażniejszością. Grób ojca. Samotna mama, której siostra nie mogła wybaczyć tej feralnej Wigilii i która po śmierci babci nie potrafiła odnaleźć w życiu choćby odrobiny radości. Zgruchotane wraz z kręgosłupem życie Alicji, która – ciągle go kochając – nie pozwalała mu się do siebie zbliżyć, uznając, że wszystko robi dla niej z litości. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że ma rację – miłość, jak alkohol z otwartej butelki, ulatniała się powoli, aż zostało tylko poczucie obowiązku. Nawet nie litość.

– Krzyś, spójrz na mnie.

Dorota chwyciła klapy jego marynarki i lekko go do siebie przyciągnęła. A on spojrzał i dostrzegł usta lekko składające się do pocałunku. Chciał, tak bardzo chciał ją pocałować, tylko że twarz, którą widział, była twarzą Alicji.

– Nie mogę, Dorotko. – Pokręcił głową. – I nie chcę – dodał, delikatnie uwalniając się z jej dłoni. – Wybacz, proszę. – Mówiąc to, odwrócił się i odszedł, nie oglądając za siebie.

Mgła za oknem zgęstniała, rozmywając kontury sąsiednich budynków. Odwrócił się do środka, zostawiając ciemność nocy i wspomnienia za sobą.

– Powiedz mi, czy po tej zmianie... – Krzysztof jeszcze raz ułożył sobie pytanie w głowie. – Czy będę wiedział, że coś się zmieniło? Czy będę pamiętał tę rzeczywistość sprzed zmiany, będę świadomy tego, że to ja o tym zdecydowałem?

– I tak, i nie. – Ojciec przerwał na chwilę, jakby dobierając w myślach odpowiednie słowa. – Twoja pamięć będzie zawierać wszystko, co tworzy nową rzeczywistość. Mówiąc otwarcie, będziesz kimś innym, niż jesteś teraz, bo ukształtują cię zupełnie inne wydarzenia. Jednocześnie jednak nadal będziesz miał wiedzę o obecnej rzeczywistości i świadomość, że to twoja decyzja ją zmieniła. Tylko że... w nowej rzeczywistości nie znajdziesz niczego, co potwierdzałoby istnienie tej innej. Tej, którą zmieniłeś. W naturalny sposób zaczniesz więc wątpić w swoje poprzednie wspomnienia, aż wreszcie, dla zachowania równowagi psychicznej, twój mózg umieści je w dziale „Urojenia”.

Krzysiek wsłuchiwał się w płynący nieśpiesznie i pachnący kosmosem organowy podkład i łkającą gitarę. Czekał na charakterystyczny, składający się z czterech nut gitarowy riff i wchodzącą po czwartym powtórzeniu perkusję. Gdy usłyszał słowa *Remember when you were young*, wiedział już, co odpowie na pytanie ojca.

Michał Sosiński

Pluszowy renifer

Ostrożnie zajrzała przez dziurę w ścianie. Hipermarket, mimo palących się u sufitu pojedynczych lamp, tonął w półmroku. Uderzał zapach, intensywny i nieprzyjemny, ale nie umiała go nazwać. Podłogę pokrywały zrzucone z półek towary.

Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk, w przeciwieństwie do miasta, które miała za plecami. Od strony i lepszych, i gorszych dzielnic słyszała wybuchy, strzały, pisk opon, ryk silników, krzyki. A coraz częściej z tego hałasu wybijały się agresywne basy, coraz częściej grała muzyka.

Odbezpieczyła pistolet i powoli, przyświecając sobie latarką, weszła do środka.

Wewnątrz było cicho i w innych okolicznościach uznałaby to za kojące doświadczenie. Wzrok szybko przyzwyczaił się do półmroku. Brodziła w zniszczonym asortymencie, a każdy krok powodował hałas większy, niż by chciała. Pod nogami trzeszczały plastikowe opakowania, chrzęściło potłuczone szkło, co chwila coś pękało z trzaskiem.

Mijała alejki pustych półek. Przyszło jej na myśl, że ktoś musiał włożyć sporo trudu, żeby metodycznie zrzucać ich zawartość na posadzkę, a potem niszczyć, łamać i tłuc; słoiki, zgrzewki, opakowania, pudełka. Światło latarki wyławiało z chaosu poszczególne przedmioty. W jednej z alejek wydało jej się, że widzi leżącego człowieka. Przeszedł ją dreszcz i przyspieszyła kroku.

Z każdym metrem do przodu z pomieszania zapachów wyłaniały się pojedyncze, dobrze zdefiniowane: słodki zapach zgnilizny, ostry alkoholu, gryzący środków czystości. Przez chwilę chciała zwymiotować.

Usłyszała szelest za plecami, momentalnie odwróciła się i wycelowała w kierunku hałasu. Lis zamarł w bezruchu, jego oczy w świetle latarki błysnęły białą. Po sekundzie uciekł w ciemność.

Dziura w ścianie, którą wybrała, znajdowała się daleko od głównego wejścia. Uznała, że tak będzie bezpieczniej, ale zmusiło ją to do przejścia przez cały sklep. To, czego szukała, znalazła dopiero w pobliżu kas. Rozejrzała się dookoła, uklękła, odłożyła pistolet na posadzkę i przyświecając sobie latarką, szybko schowała do plecaka leżące najbliżej opakowanie ozdób świątecznych. Nawet nie przyjrzała się, co bierze. Wepchnęła też małą, sztuczną choinkę. Leżał pod nią pluszowy renifer, zabrała go bez zastanowienia. Zawartość plecaka trzeszczała, kiedy upychała wszystko w środku, zamek nie chciał się domknąć. Przez moment szarpała go w złości bez skutku, po chwili poderwała się na równe nogi.

Do dziury, którą weszła, wróciła biegnąc. Nie mogła się powstrzymać, nie myślała o zasadach bezpieczeństwa. Serce waliło jak oszalałe, chciała jak najszybciej wydostać się na zewnątrz.

* * *

Jechała szybko, silnik wył na wysokich obrotach, nie zatrzymywała się przed skrzyżowaniami. Przejżdżała obok wraków samochodów, niektóre były spalone. Ulice zasnuwał dym, na chodnikach leżały śmieci i rupiecie, nie chciała wiedzieć, czy między nimi leżą trupy. Nie miała na to czasu.

Co jakiś czas mijała ludzi. Bokiem przebiegały małe grupy, jedni uciekali na jej widok, inni rzucali kamieniami, na szczęście niezbyt celnie. Byli też tacy, którzy patrzyli na nią obojętnie. Mijała budynki, ciemne i opuszczone, ale również rozświetlone, z których dobiegał gwar i głośnia muzyka. We wstecznym lusterku świeciły łuny pożarów.

Im dalej od centrum, tym było spokojniej. Wjechała na pustą drogę ekspresową i po chwili minęła ogromny billboard. Czerwony napis głosił: „Kup teraz, zapłać dopiero za pięć miesięcy”.

Dobry interes – pomyślała i parsknęła śmiechem.

Mijała opustoszałe place budów, osiedla nowych domów jednorodzinnych na sprzedaż, reklamy kredytów i długoterminowych inwestycji o ogromny zwrocie. Ostatnim billboardem, jaki minęła przed zjazdem z ekspresówki, była reklama firmy ubezpieczeniowej: „Pomyśl o przyszłości”.

Skręciła w prawo.

* * *

Powoli przejechała obok dużego, piętrowego domu. Przyglądała mu się uważnie. Obity szerniałymi, niemalowanymi deskami, stał samotnie na końcu wsi.

Kiedy budynek zniknął za rosnącymi dookoła drzewami, wcisnęła pedał gazu, a po chwili skręciła w lewo w gruntową drogę. Po przejechaniu kilkadziesiątu metrów skręciła w lewo po raz drugi i znalazła się w dużym ogrodzie. Górował nad nim dom, który chwilę wcześniej oglądała. Zatrzymała samochód i przekręciła kluczyk w stacyjce.

W końcu cicho – pomyślała.

Z siedzenia pasażera zabrała plecak, a z bagażnika resztę pakunków. Z torbą w jednej ręce i odbezpieczonym pistoletem w drugiej ruszyła przez ogród. Pod nogami trzeszczała zaszroniona trawa. Dotarła do wejścia i zapukała trzy razy. Policzyła do dziesięciu i zrobiła to po raz drugi.

Zachrząściły zamki. Minęła chwila i drzwi otworzyły się. Stał w nich uśmiechnięty starszy mężczyzna. Uderzyła ją fala gorącego powietrza, zapach gotowanego jedzenia, duchota dawno niewietrzonego domu. Weszła do środka.

– Jak dzieci? – zapytała i zaczęła zdejmować ciężkie buty.

– Patryk i Dorotka śpiący, siedzieli ze mną cały dzień w kuchni. Antek dokazywał.

Z pokoju obok wybiegł uśmiechnięty czterolatek i złapał ją za nogi. Nachyliła się i wzięła chłopca na ręce.

– A pani Maria?

Obładowana dzieckiem, torbą, plecakiem i z pistoletem w paskiem, ruszyła w głąb domu.

Mężczyzna poszedł za nią. Utykał na jedną nogę.

– Trochę płacze. – Przestał się uśmiechać. – Ale tych tabletek nie chce brać, boi się, że dla dzieci za-
braknie.

Nie zabraknie – pomyślała.

Środek dużego pokoju zajmował długi stół z białym obrusem, nakryty dla siedmiu osób. Minęła go i weszła do kuchni. Obok szedł, powoli i dostojnie, z pyskiem przy ziemi, stary owczarek niemiecki. Stukał pazurami w drewniany parkiet.

– Antoś. – Postawiła dziecko na podłodze i spojrzała mu w oczy. – Idź i wypatruj pierwszej gwiazdki, bo nie będziemy wiedzieli, kiedy zacząć. No leć, leć.

Chłopiec pobiegł do okna, a ona położyła torbę na blacie kuchennej szafki. Starszy mężczyzna zaczął wyjmować z niej jedzenie w puszkach i plastikowych opakowaniach. Na koniec wyłożył na stół siatkę z mandarynkami.

Otworzyła plecak i pierwszym, co zobaczyła, był pluszowy renifer. Wyjęła go, zaskoczona, ale po chwili przypomniała sobie, skąd się wziął. Spojrzała na chłopca. Z nosem przyklejonym do szyby nie widział niczego dookoła. Szybko schowała zabawkę do szafki.

Postawiła na stole sztuczną, drucianą choinkę. Intensywna zieleń nie próbowała nawet naśladować naturalnej. Drzewko było pogięte, ale doprowadziła je do lepszego stanu.

Na dnie plecaka zostało coś jeszcze. Wyciągnęła to i dopiero teraz zobaczyła, co zabrała z supermarketu. Srebrne pudełko, a na nim wypukłe zielone liście z czerwonymi jagodami, ostrokrzew – symbol świąt zza Oceanu. Uśmiechnięte bałwany w czerwonych czapkach Mikołaja. Nad nimi napis: „Osiem Bombek Choinkowych”.

Otworzyła opakowanie. Po raz pierwszy od wielu, wielu dni, zapłakała. Wszystkie były rozbite.

Siedzieli w piątkę przy stole przykrytym białym obrusem: ona, dzieci i starsi państwo. Antek ciągle wyglądał przez okno. Staruszkowie kleili łańcuchy z pociętych kolorowych czasopism. Słońce zaszło, ale było jeszcze dość jasno. Na komodzie obok puszek z jedzeniem stała sztuczna choinka. Pod stołem leżał pies.

– Patryk, Dorotka, jak się czujecie? – zapytała.

Dziewczynka oparła się o stół i położyła głowę na rękach.

– Chce mi się spać – odpowiedziała sennie.

Chłopiec, najstarszy z całej trójki, siedział odchylony w krześle, miał lekko otwarte usta i patrzył gdzieś nieobecny wzrokiem.

Chciała mieć całą trójkę jak najdłużej, ale jednocześnie nie mogła dopuścić, żeby cierpiały. Dlatego skrupulatnie dzieliła tabletki i pilnowała godzin podania.

Staruszka otarła łzy z kącików przekrwionych oczu.

– A wie pani, gdyby nie to... – Głos jej się załamał. – Gdyby nie to, spędzilibyśmy Wigilię sami. Dzieci nas już nie odwiedzają. A my nie wychodzimy. Wie pani, mieszkaliśmy na czwartym piętrze, jak nie trzeba, to się nie wychodzi. Stanisław czeka trzy lata na operację kolana, powinna wypaść za dwa tygodnie, zaraz na początku roku.

Mężczyzna ocknął się.

– Tak, tak, trzy lata czekałem, no ale jak to zaczęło się dziać, to żeśmy zeszli, nie ma rady, pół godziny schodziłem po tych cholernych schodach.

– Stasiu... – Kobieta skarciła go wzrokiem.

– Tak było, kochanie, i wtedy nas pani spotkała.

– Olga. Mam na imię Olga – powiedziała i uśmiechnęła się.

– Mamo – odezwał się nagle Patryk. – Dlaczego robimy Wigilię cztery dni wcześniej?

Zapadła cisza. Staruszkowie na moment zatrzymali się bez ruchu.

– Bo później już nie zdążymy – odpowiedziała Olga.

Chłopak pokiwał głową i zapadł z powrotem w półsen.

Wstała od stołu. W pokoju obok, gdzie pachniało naftaliną i kurzem, usiadła w dużym fotelu. Z portfela wyjęła zdjęcie mężczyzny.

Kiedy kochasz się z kimś po raz ostatni, zazwyczaj nie wiesz, że to ostatni raz – przyszedł jej do głowy cytat z taniego autora. Zirykowało ją, że w takiej chwili przypominają się tylko banały.

Chciałabym wiedzieć? – pomyślała. *Byłoby inaczej, lepiej? Chyba nie. Wolalabym nie wiedzieć. Za duży stres.*

Powoli, powłócząc nogami, przyszedł pies. Położył pysk na jej kolanie i wpatrywał się w nią dużymi, smutnymi oczami. Delikatnie potarł ją za uszami.

– A jak ty się w ogóle nazywasz, co? – zapytała. – Jak się nazywasz, znajdo? Oj, chyba dzisiaj nie porozmawiamy. Za wcześnie. Nie bój się, nie bój, dla ciebie też mam. Też mam dla ciebie tabletki.

Uśmiechnęła się. Miała je odliczone co do sztuki dla siebie, dzieci i psa. Wiedziała, o ile przekroczyć dozwoloną dawkę. I tak planowała wziąć swoje na końcu, więc wszystko będzie pod kontrolą. Pani Maria i pan Stanisław nie krytykowali jej planu, ale sami nie chcieli brać w nim udziału.

– Mamo, mamo! – krzyczał Antek. – Już jest!
Gwiazdka!

Podeszła do syna i objęła go.

– Popatrz, co znalazłam pod choinką.

Wyjęła zza pleców pluszaka.

– Renifer!

– Co się mówi?

Chłopiec, zajęty zabawką, nie zwracał na nią uwagi.

– Antoś, co się mówi?

Nauka dobrych manier, potrzebna szczególnie teraz – pomyślała, uśmiechnęła się, ale drugi raz tego wieczoru stanęły jej w oczach łzy.

Spojrzała za okno. Od kilku tygodni najjaśniejszy obiekt na nocnym niebie pojawiał się wcześniej niż Wega, wstawał nad horyzontem i co noc rósł, a jego kolor przechodził z białego w pomarańczowy. Dzisiaj był niemal tak duży, jak Księżyc.

– Dziękuję – powiedział chłopiec po chwili.

Ewa Zwołńska

Świąteczna Lista Przebojów

Jacek Skrudziak, kawaler, lat 27, siedział przy biurku, przeglądając grafik poświątecznych zleceń, gdy budzik w telefonie oznajmił początek najważniejszego wydarzenia dnia. Co roku dwudziestego trzeciego grudnia, równo o godzinie dziewiętnastej, startowała kultowa „Lista Przebojów” Piątki. Mężczyzna prędko zamknął pocztę, odłożył notes i z namaszczeniem nacisnął włącznik staro-boomboxa. Radio przywitało go charakterystycznym dźwiękiem, zapowiadającym wyczekiwaną „Listę”.

– Dobry wieczór państwu! – Z odbiornika popłynął ciepły głos prowadzącego. – Uwierzycie państwo, że to już nasza *czterdziesta* „Świąteczna Lista Przebojów”? Niesamowite, jak ten czas leci...

Jacek nie tylko wierzył, ale i wiedział – każde kolejne wydanie audycji skrupulatnie odnotowywał w specjalnym arkuszu Excela. Informacje o wynikach udostępniał też na bieżąco we wszystkich social mediach. Choć nie mógł pamiętać początków „Listy”, słuchał jej regularnie od czasów gimnazjum, a przedwigilijna noc w towarzystwie głosu redaktora Misieckiego była ulu-

bioną bożonarodzeniową tradycją. Ulubioną i zarazem jedyną, którą kultywował z własnej woli.

– Jak tam u państwa, wszystko gotowe na jutrzejszy wieczór? Karp zamordowany, choinka przystrojona...?

A niech to, uświadomił sobie, *kompletnie zapomniałem*. Choinka, choć nie należała do jego ulubionych elementów Świąt, musiała stanąć w mieszkaniu także w tym roku. Najlepiej w widocznym i dobrze oświetlonym miejscu, by inni widzieli, że celebruje tę okazję jak wszyscy wokół. Budowanie wizerunku normalnego człowieka było bardzo ważne – dzięki temu ludzie nie powinni podejrzewać, że coś z nim jest nie w porządku. Tak przynajmniej radził mu ojciec.

Rozejrzał się uważnie po pokoju, ale nie znalazł w zasięgu wzroku nic przypominającego świąteczne drzewko. Roślin nie hodował – ledwie był w stanie zadbać o siebie, a co dopiero o inne żywe stworzenie. Żadnych patyków czy gałązek też nie miał, no bo skąd mógł je wziąć w tej betonowej dżungli? Sklepy były już zamknięte, więc zakupy *last minute* nie wchodziły w grę; w tej sytuacji pozostało mu zdać się na własną kreatywność. Wyciągnął na wierzch szufladę z różnymi niepotrzebnościami i zaczął dokładnie przeczesywać jej zawartość.

– No dobrze, przejdźmy wreszcie do tegorocznego zestawienia – ogłosił tymczasem głos w radiu. – Zaczynamy od miejsca trzydziestego i nieśmiertelnego *All I Want for Christmas!*

Chłopak pędem wrócił do biurka, wpisał stosowną notkę do tabeli, wystukał i opublikował wszystkie posty. Zadowolony ze spełnionego obowiązku postanowił porzucić szufladę i kontynuować szukanie inspiracji w kuchni. Może tam znajdzie cokolwiek choinkopodobnego...?

I don't wanna much for Christmas, there is just one thing I need...

Grzebiąc w stercie śmieci z całego tygodnia, Jacek zdążył już całkiem stracić nadzieję na substytut świątecznego drzewka, gdy jego wzrok padł na stos pudełek po pizzy. Przywitał ten widok uśmiechem. Tak, to powinno się nadać. Nie opuszczając kuchni, sięgnął po nożyczki i jął wycinać kartonowe trójkąty, pilnując, by wybrane fragmenty nie nosiły śladów tłuszczu ani nie odbiegały od siebie rozmiarem. Jego choinka musiała być perfekcyjna, podobnie jak wszystko, co robił.

...make my wish come true... All I want for Christmas is...

Gotowe trójkąty trafiły już na biurko, gdzie stopniowo pokrywały się zielonością zaszczepioną im za pomocą pędzla. Jacek lubił malować – odstresowywało go to po dniu pełnym zleceń „na już”. Sięgał po farby także wtedy, gdy dzwonili rodzice albo ktoś w windzie popatrzył na niego w taki sposób, jakby przejrzał Jacka na wylot i doskonale wiedział, co mu jest. A przecież on tak bardzo się starał, żeby nic nie było widać...

...you!

Jacek wzdrygnął się, omal nie rozchlapując przy tym farby na biurko. Miał wrażenie, że Mariah śpiewa bezpośrednio do niego, Jacka z Polski, malującego kartonową choinkę w swojej małej kawalerce. *Nie, to niemożliwe* – tłumaczył sobie. *To tylko nagranie, to nie do ciebie*. Uspokoiwszy się nieco, rozprostował palce i wrócił do pracy.

Oh, all the lights are shining so brightly everywhere...

Wszystkie choinkowe części były już idealnie zielone i gotowe do dalszej obróbki. Chłopak położył je na kaloryferze, po czym przyjrzał się krytycznie swemu dziełu. No, nieźle. Ani jednej smugi.

Czy mama byłaby z niego dumna...? Pewnie tak, mama zwykle cieszyła się, gdy znajdował sobie jakieś zajęcie. No, chyba że robił coś dziwnego przy ludziach. Wtedy głównie krzyczała albo płakała. Ale odkąd mieszkał sam, nie dostarczał jej zbyt wielu okazji do wstydu. Zastanawiał się, czy jutro, kiedy znów się spotkają, to się nie zmieni.

Santa, won't you bring me the one I really need? Won't you please bring my baby to me...?

Szum, trzask, znowu szum, a potem cisza. Coś popsuło się w radiu i rozśpiewana Mariah nagle zamilkła.

Wytrącony z równowagi Jacek obejrzał odbiornik ze wszystkich stron, próbując odnaleźć źródło usterki. Pukał, stukał, naciskał i kręcił, jednak bez skutku. Urządzenie uparcie milczało.

– No działaj, proszę cię, działaj... – szeptał błagalnie chłopak, po raz piąty wpychając wtyczkę z powrotem do kontaktu.

Tym razem wreszcie się udało – w głośnikach znów dał się słyszeć miły baryton Misickiego, który zapowiadał właśnie następny kawałek. Jacek odetchnął z ulgą i ponownie otworzył laptopa, by zanotować kolejną pozycję z „Listy”. Tylko co się właściwie stało? Skąd ta chwilowa radiowa niedyspozycja? Czyżby starszek Sony, otrzymany w prezencie od wujka jeszcze w podstawówce, powoli tracił siły?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi. Serce Jacka zabiło mocniej. Kto to może być? Przecież nikogo się nie spodziewał, zwłaszcza o tej porze...

Przez chwilę miał jeszcze nadzieję, że to któryś z sąsiadów wracający z przedwigilijnej libacji pomylił drzwi i po skonstatowaniu swojego błędu pójdzie pro-

sto do siebie. Niestety, dzwonek powtórzył się, a potem rozbrzmiał jeszcze raz. Nie było wyjścia – musiał sprawdzić, kto to.

Stawiając kroki najciszej, jak potrafił, podszedł do drzwi wejściowych i ostrożnie wyjrzał przez judasza. Po drugiej stronie stał starszy pan o aparycji Świętego Mikołaja: na głowie miał czerwoną czapkę, na nosie okulary, a jego dolną połowę twarzy skutecznie zasłaniała siwa broda, jakiej nie powstydziliby się sam Marks. I choć nieznamy nie miał ze sobą wypchanego prezentami worka, jego sporych rozmiarów plecak wskazywał na wspólny charakter – lub przynajmniej podobieństwo – wykonywanej pracy.

Jacek zamrugał kilka razy, upewniając się, czy aby na pewno nie zwodzą go zmysły. Mimo to dziwny gość nadal trwał w jego polu widzenia, nie tracąc nic ze swojej mikołajowości.

Chłopak ostrożnie przekręcił klamkę, uchylając drzwi na kilka centymetrów.

– Do-dobry wieczór... – wybąkał niepewnie. – Pan... do mnie?

Staruszek spojrzął na trzymaną w rękę listę.

– Pan Jacek Skrudziak?

– E... tak, to ja.

– Przesyłkę mam dla pana.

Dopiero wtedy Jacek dostrzegł stojący obok przybysza kosz, w którym spoczywała lalka przypominająca śpiące niemowlę. Po bliższych oględzinach zauważył ze zgrozą, że lalka oddycha i porusza ustami. Odkrycie to zmusiło go do zmiany przypisanej jej wstępnie etykiety na „Jezus Maria, dziecko!”.

Poczuł, że robi mu się słabo.

– To nie moje – oświadczył drżącym głosem.

– Ale do pana – stwierdził stanowczo facet-Mikołaj. – Adres i nazwisko się zgadzają.

– Ale... ja nic takiego nie zamawiałem...

Dostawca popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem. Widać było, że ma za sobą ciężki dzień.

– Słuchaj pan, ja tylko dostarczam przesyłki. Nie odpowiadam za to, co jest w środku. Jak masz pan jakieś wątpliwości, to zrób sobie test na ojcostwo czy coś. – Urwał, jak gdyby liczył, że to wystarczy, by Jacek przyjął niespodziewaną przesyłkę. Ten jednak ani drgnął. Tkwił w szparze między ścianą a drzwiami blady i kompletnie zdezorientowany. Widząc jego reakcję, siwobrody westchnął.

– Przykro mi, chłopie, ale naprawdę nic tu nie pomogę. Muszę lecieć dalej, ludzie czekają na paczki. Weź się tym jakoś zaopiekuj. – Wskazał ręką na koszyk. – W zestawie masz mleko, pieluchy i inne takie, dasz se radę. – Poprawił szelki obszernego plecaka, po czym odwrócił się i, nim Jacek zdołał zaprotestować, ruszył w kierunku windy. – A, no i ten. Wesołych Świąt! – zawołał jeszcze z kabiny.

Jacek został sam na sam z niechcianą przesyłką, zastanawiając się, od kiedy handel ludźmi jest w Polsce legalny i co właściwie powinien z tym fantem zrobić. Telefon na policję byłby najrozsądniejszym krokiem, ale perspektywa zgłoszenia takiej sprawy przerażała go równie mocno, jak konieczność opieki nad niemowlęciem. Jeszcze gorszym rozwiązaniem zdawała mu się próba uzyskania pomocy ze strony sąsiadów – wątpił, by ktokolwiek uwierzył w jego historię. Już wcześniej niektórzy uważali go za dziwaka, a teraz tylko zyskaliby pewność i pewnie jeszcze donieśli na niego gdzieś, gdzie zajęliby się Jackiem tak, że finalnie straciłby mieszkanie, pracę i resztki reputacji.

A jednak coś trzeba było przedsięwziąć. Nie mógł tej sprawy tak po prostu zignorować, podobnie jak nie mógł zostawić dzieciaka na zimnej klatce schodowej, zwłaszcza przed własnym mieszkaniem. Przez chwilę rozważał nawet podrzucenie niespodzianki pod inne drzwi i szybkie ulotnienie się, ale za bardzo obawiał się porażki. Co jeśli nikogo nie będzie akurat w domu? Albo dzieciak trafi do osoby jeszcze bardziej niekompetentnej niż on sam?

Zaniepokojony wizją sąsiada-kanibala pożerającego bobasa na kolację, Jacek chwycił koszyk i powoli przeciągnął go do mieszkania. Raz po raz zerkał na śpiącego malucha, modląc się w duchu, by się nie obudził i nie zaalarmował nikogo płaczem.

Szczęśliwie niemowlak okazał się wyjątkowo odporny na wszelkie niedogodności. Jedyłą jego reakcją na trwającą wprowadzkę była seria mlaśnieć i zmiana pozycji rączek. Gdy tylko kosz przekroczył próg przedpokoju, a drzwi zostały zamknięte i, dla pewności, zaryglowane przy pomocy wszystkich możliwych zamków, Jacek wypuścił z ulgą powietrze. Póki dzieciak spał, był jeszcze czas, by zebrać się na odwagę i zadzwonić, gdzie trzeba.

Po umieszczeniu koszyka w pobliżu kaloryfera chłopak przyjrzał się uważniej jego zawartości. Oprócz kilkumiesięcznego niemowlęcia zaopatrzonego w smoczek, czapeczkę i pluszowego misia znajdował się tam również zestaw do karmienia. Jacek schylił się i ostrożnie wyjął opakowanie mleka w proszku, butelkę oraz przyrządy do czyszczenia. Na szczęście nadawca – kimkolwiek był – nie zapomniał o instrukcji.

– Szkoda, że nie ma tu nic o obchodzeniu się z dziećmi – mruknął, studiując kolejne punkty. Niezmiernie dziwiło go, że większość załączonej ulot-

ki zajmowała instrukcja przygotowania mleka. Ani słowa o przebiegu dziecięcego rozwoju, wychowaniu, możliwych trudnościach i tym podobnych sprawach.

– I co ja mam z tobą zrobić...? – westchnął Jacek, patrząc z wyrzutem na wtulonego w kocyk malca.

Postanowił więc, że przynajmniej przygotowuje pokarm. Zabrał cały sprzęt do kuchni, zakasał rękawy i wziął się do dzieła. Gdy gotowa butelka leżała już w misce z ciepłą wodą, do uszu Jacka dotarł radiowy głos z drugiego pokoju.

– ...dodzwoniła się do nas teraz pani Krystyna z Wrocławia. Dobry wieczór, pani Krysiu! Proszę powiedzieć, co pani najbardziej lubi w Świętach...?

Zazdrościł pani Krysi. Nigdy dotąd nie zadzwonił do Misieckiego podczas audycji, choć wielokrotnie miał na to ochotę. Możliwość bezpośredniego kontaktu ze znanym dziennikarzem, do tego na żywo i przy świadkach, wprawiała go w panikę dorównującą rozmiarami jego ekscytacji. W ogóle wszelkie telefony budziły u niego skrajne przerażenie.

Gdyby jednak miał dość odwagi, żeby wykonać telefon do radia, i dosyć szczęścia, by jego głos trafił do studia, wyznałby redaktorowi Misieckiemu to, co właśnie postanowił powiedzieć śpiącemu bobasowi.

– Wiesz – zaczął, kucając przy koszyku – ta cała Wigilia wcale mi się nie podoba. Znów będą mnie pytać, dlaczego wciąż nie mam dziewczyny ani „normalnej pracy”. Według nich *freelancing* nią nie jest. – Urwał i zerknął na niemowlę, by upewnić się, że malec nadal śpi jak zabity, po czym kontynuował: – Matka pewnie będzie chciała wiedzieć, czemu jestem taki chudy, czy odżywiam się zgodnie z metodą doktora Gawrona, bo „to przecież podstawa przy takich

schorzeniach, jak moje”... A potem nagle przestanie się mną interesować i zacznie narzekać na ojca albo wszystkie swoje choroby. Z kolei ojciec... – Ale o tym Jacek wolał już nie mówić. Nie chciał, żeby maluch miał przez niego koszmary.

Tymczasem pani Krysia zniknęła z anteny, a jej miejsce zajęła kolejna piosenka. Tym razem był to zespół The Eagles i ich *Please Come Home for Christmas*. Jacek wstał i podszedł do leżącego na biurku laptopa. Cokolwiek by się działo, tradycja rzecz święta.

*But this is Christmas, yes, Christmas, my dear
The time of year to be with the ones you love
So won't you tell me you'll never more roam
Christmas and New Year's will find you home...*

Znów szum, trzask, szum i w końcu cisza.

Chłopak z jękiem opadł na krzesło. Wypuszczony z ręki długopis poturlał się po blacie, a potem wylądował na podłodze. Dlaczego wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu? *Niech ta pieprzona noc wreszcie się skończy* – prosił w duchu bliżej nieokreślonego zarządcę rzeczywistości.

– Proszę, napraw się – powtórzył tym razem na głos. Mama też często modliła się na głos. Twierdziła, że to pomaga, choć z żadną z jego licznych przypadłości jakoś nie pomogło. – Nie zabieraj mi mojej „Listy”...

I wtedy odbiornik odezwał się ponownie. A potem odezwało się jeszcze coś, a nawet: ktoś.

– Eee, przepraszam bardzo...

Jacek podskoczył jak oparzony, prawie wywracając przy tym krzesło. Głos nie należał ani do redaktora

Misieckiego, ani do wciąż śpiącego niemowlęcia; jego właścicielką była drobna blondynka w szarym dresie i domowych kapciach, która nagle zmaterializowała się na środku pokoju. Jej młoda, nieumalowana twarzyczka wyrażała kompletne zagubienie i zawstydzenie, emocje dość dobrze znane Jackowi. Samą twarz też znał całkiem nieźle – widywał ją co tydzień w pobliskiej kawiarni, gdzie w każdy poniedziałek o godzinie siódmej trzydzieści robił swoje słodkie zakupy. Zawsze grzecznie uśmiechnięta, w tym samym służbowym fartuszk, z włosami niezmiennie spiętymi w kucyk. Pytała tylko: „Dla pana to, co zwykle?”, on potwierdzał, że tak, a ona wręczała mu jego tygodniowy przydział słodczy, wydawała resztę i zapraszała do ponownej wizyty.

Lubił tę dziewczynę i jej przewidywalność. Podo- bała mu się chyba najbardziej ze wszystkich dziewczyn, jakie znał. Tak przynajmniej mu się wydawało, bo uczucia i związki między ludźmi wciąż stanowiły dla Jacka zagadkę. Miał jednak cichą nadzieję, że pewnego dnia, kiedy w końcu go wyleczą i stanie się równie normalny, jak wszyscy, przyjdzie do jej kawiarni z bukietem kwiatów i zaprosi tę miłą ekspedientkę na kawę. Nie musieliby iść daleko – kawę można było przecież zamówić na miejscu. A potem, jak już wypiliby wystarczająco dużo kaw, zabralby ją do siebie i tam robiliby razem... no, to, co zwykle robią ludzie, którzy się ze sobą spotykają.

Takie plany snuł wobec dziewczyny z kawiarni w swojej głowie, gdy jeszcze rzeczywistość funkcjonowała normalnie. W życiu nie spodziewałby się jednak, że kiedykolwiek zastanie ją we własnym mieszkaniu, do tego w wydaniu zgoła niesłużbowym, tak różnym od jej zwyczajowej stylizacji.

– Co... co ja tu robię? – zapytała blondynka, rozglądając się niepewnie. Wyglądała na równie zaskoczoną, jak on sam.

– E... To chyba ja powinienem zadać to pytanie – odpowiedział przytomnie Jacek, rad, że nie wspomniała nic na temat śpiącego w przedpokoju niemowlęcia.

Dziewczyna bezradnie wzruszyła ramionami.

– N-nie mam pojęcia... Jeszcze przed chwilą byłam u siebie w domu. Oglądałam serial i na moment przymknęłam oczy, bo zrobiłam się senna, a kiedy je otworzyłam... No, nagle stałam już tutaj, na środku pokoju. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak właśnie było.

– Aha.

Na tym rozmowa się urwała, stawiając Jacka w nader trudnym położeniu. Kompletnie nie wiedział, co powinien teraz zrobić z rozmówczynią. Nagłe pojawienie się blondynki mocno namieszało mu w planach. Piosenka w radiu zmierzała ku końcowi, co wiązało się z przygotowaniem na nowy przebój i kolejny wpis, jednak w tym momencie dziewczyna i dziecko byli ważniejsi. *Zabarwne* – pomyślał Jacek – *jak szybko człowiek zmienia priorytety, gdy w jego życiu pojawiają się inni ludzie...*

– Masz jakieś imię? – wypalił w końcu, nie mogąc dłużej znieść krępującej ciszy. – To znaczy, jak masz na imię? – poprawił się szybko.

– Agata. – Podąła mu rękę. Była delikatna, ciepła i przyjemna w dotyku. – A ty?

– Jacek.

Po wymianie nerwowych uśmiechów i uścisków dłoni znów zapadła cisza, w której słychać było tylko głos Misickiego zapowiadającego *Let it Snow*. Jacek

odnotował ten fakt w pamięci, obiecując sobie, że zarejestruje go w komputerze, gdy tylko załatwi sprawę niespodziewanych gości.

– Ja ciebie kojarzę. Z pracy – odezwała się nagle Agata. – Przychodzisz zawsze w poniedziałek rano, prawda? Po ciasteczka owsiane i eklerki?

– Tak – potwierdził Jacek, ciesząc się, że dziewczyna chce kontynuować rozmowę. Już myślał, iż sytuacja została opanowana i teraz pójdzie gładko, gdy nagle padło pytanie, którego wolałby nie usłyszeć.

– A ten maluch? Jak się nazywa? – Wzrok rozglądającej się wokół Agaty zatrzymał się na koszyku. – I... przepraszam za wścibstwo, ale... co on właściwie robi w koszyku?

Jacek wziął głęboki oddech, odchrząknął, a następnie podrapał się po ramieniu. Mimo tych wszystkich zabiegów gromadzące się wewnątrz napięcie tylko rosło, aż sięgnęło zenitu.

– Nie wiem. Nie wiem – powtarzał w kółko, kiwając się naprzemiennie w przód i w tył. Trząsał się na całym ciele i ledwie powstrzymywał płacz. – Naprawdę, chciałbym odpowiedzieć, ale nic nie wiem. Przyniósł mi go gość przebrany za Mikołaja i kazał się nim zaopiekować, a potem sobie poszedł. – Ukrył twarz w dłoniach, nie potrafiąc spojrzeć Agacie w oczy. – Wierzysz mi...?

Cisza, cisza, cisza, a potem głos Agaty.

– Chyba tak.

Jacek podniósł głowę, wpatrując się w dziewczynę z niedowierzaniem. W odpowiedzi blondynka uśmiechnęła się nieporadnie.

– Skoro ja byłam w stanie trafić tutaj ot tak, prosto ze swojej kanapy, to dziecko niespodzianka w koszyku

też miało prawo ci się wydarzyć. Twoja historia jest wprawdzie dość kuriozalna, ale przecież nie bardziej niż moja, prawda?

– Tak, tak. Kuriozalna – powtórzył uspokojony Jacek. Lubił to słowo, miało ładne brzmienie. Z minuty na minutę coraz bardziej lubił też Agatę. Mówiła w uroczo archaiczny sposób i używała ładnie brzmiących słów. Postanowił więc skorzystać z okazji i przejść do realizacji swojego planu w nieco zmienionej formie.

– To skoro już tu jesteś, może, e... napiszesz się czegoś? Kawy, herbaty, wody? Mam naprawdę dobrą kawę – zaproponował.

Agata ponownie uśmiechnęła się, ale tym razem spuściła wzrok i podrapała się po karku. Jacek próbował rozszyfrować, co to oznacza, ale ostatecznie nie udało mu się odnaleźć takiej reakcji w swojej bazie danych.

– Dziękuję bardzo, ale o tej porze nie piję już kawy. Poza tym chciałabym wrócić do siebie, do domu. Jutro Święta, wiesz, trzeba wszystko przygotować i w ogóle...

Jacek poczuł, jak wszystkie jego nadzieje pękają na kawałki niczym bombka po zderzeniu z podłogą.

– No tak. Tak, jasne. Już ci otworzę drzwi. – Wstał i ruszył w kierunku przedpokoju najwolniej, jak potrafił, chcąc odwlec moment odejścia Agaty. Co prawda jej obecność krępowała go, dziwiła i generowała mnóstwo kłopotów, ale żał mu było marnować taką okazję. Postanowił jednak, że nie będzie nalegać. Ludzie chyba nie lubią, jak się ich na coś uparcie namawia, zwykle się wtedy irydują i wyzywają od czubków. Ale to nic, spróbuje znowu w najbliższy poświęteczny poniedziałek – tym razem tak, jak zakładał plan.

*And since we've no place to go
Let it snow, let it snow, let it snow...*

Kładąc rękę na klamce drzwi prowadzących do hallu, ponownie usłyszał charakterystyczne szумы i trzaski, zwiastujące kolejną awarię magnetofonu. Tym razem nie przejął się aż tak – wiedział, że urządzenie ożyje na nowo, gdy tylko go o to poprosi.

– Aha, zanim pójdę... – odezwała się Agata. – Jedno pytanie, jeśli można.

– Tak? – Odwrócił się w jej stronę, celowo nie otwierając drzwi. Niech jeszcze pobędzie tu z nim chociaż przez chwilę...

– Ten duży budynek za oknem. – Dziewczyna zbliżyła się do szyby – Czy to przypadkiem nie biblioteka główna?

– Tak, dokładnie. Dlaczego pytasz?

– O, czyli miałam rację – ucieszyła się. – Wiesz, ja kiedyś mieszkałam w tej okolicy. Z mojego okna był bardzo podobny widok – wyjaśniła.

– Ciekawy zbieg okoliczności. A gdzie dokładnie to było? – zapytał Jacek, usiłując przeciągnąć rozmowę.

– Na Krasińskiego 20, mieszkanie numer 13, trzecie piętro. Mieszkałyśmy tam, póki jeszcze mama... – Blondynka urwała nagle, a jej usta uformowały się w poziomą kreskę. – No, nieważne. Zagalopowałam się. Nie wiem, czemu ci to wszystko...

– To ten adres – przerwał jej Jacek.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Słucham?

– To jest trzynastka na Krasińskiego 20 – powiedział powoli, czując, że właśnie trafił na jakiś trop, choć nie był jeszcze w stanie powiedzieć, skąd będzie i dokąd go za prowadzi.

*And the fire is slowly dying
And, my dear, we're still good-bye-ing...*

Muzyka wróciła, a wraz z nią dziwne poczucie, że świąteczna audycja kierowana jest wprost do Jacka, a może także do Agaty. Tym razem postanowił tego nie zignorować.

– To mieszkanie było kiedyś twoim domem... I teraz jesteś w domu... na Święta... Tak, to by się zgadzało. Tylko skąd Mikołaj i dziecko? Ach tak: „Santa...”. – Trybiki w jego głowie pracowały na pełnych obrotach.

Agata poruszyła się niespokojnie. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

– To bardzo ciekawe, co mówisz, ale mimo wszystko chciałabym już stąd iść...

– Oczywiście – zreflektował się Jacek. – Przepraszam bardzo. Już otwie...

Nie dokończył, bo nagle okazało się, że nie ma czego otwierać. W miejscu, gdzie jeszcze kilka minut temu znajdowały się drzwi, stała całkowicie i niezaprzeczalnie pusta ściana. Jacek zamarł z uniesioną na wysokość pasa ręką, która w tym momencie zamiast klamki trzymała powietrze. No, co jak co, ale to już przesada.

– Obawiam się, że nie mam cię jak wypuścić – wydukał, gapiąc się w pustkę przed sobą.

– Chyba żartujesz?!

– Niestety nie.

Stojąca wciąż przy oknie Agata pobiegła do przedpokoju i omal nie zderzyła się ze ścianą, w której spodziewała się wyjścia. Dysząc ciężko, zaczęła opukiwać ją ze wszystkich stron. Daremnie – drzwi za nic nie chciały wrócić na miejsce. Wreszcie poddała się i usiadła na podłodze, podobnie jak Jacek wpatrując się w białą pustkę.

– I co ja mam teraz zrobić?! – wybuchała. – Chcę drzwi. Chcę do domu... – szlochała. – Nie, to nie jest możliwe. To wszystko nie może dziać się naprawdę. Rzeczywistość tak przecież nie działa...

Jacek nie odpowiadał, pochłonięty analizą danych. Kolejne minuty patrzenia w ścianę i intensywnej obróbki faktów przyniosły wreszcie oczekiwany rezultat.

– Dokładnie: rzeczywistość nie działa, bo się popsuła. Tak jak psuje się radiodbiornik. Dlatego właśnie – oświadczył poważnie, zwracając się do Agaty – musimy zadzwonić do radia i poprosić, żeby ją naprawili.

Dziewczyna popatrzyła na niego wzrokiem, którym często obdarzali Jacka ludzie uważający go za „dziwaka” albo „niedorozwiniętego”.

– Co takiego?

– Nieważne. – Jacek machnął ręką, po czym ruszył z powrotem do pokoju. – Za chwilę i tak wszystko stanie się jasne.

W leżącym na biurku laptopie szybko zapisał tytuł i pozycję utworu, a następnie zaczął przekopywać leżące na kanapie graty w poszukiwaniu telefonu. Odnalazłszy go, drżącą ręką wystukał na klawiaturze numer do Piątki i pełen nowo odkrytej determinacji wyciągnął komórkę przed siebie. Nie dzwonił jeszcze – czekał, aż George Michael skończy śpiewać o swoim oddanym sercu i osobie, która go nie chciała. Zaintrygowana Agata podniosła się z podłogi i podeszła bliżej. Widząc to, Jacek zdobył się na kolejny odważny krok.

– Cholernie boję się tam dzwonić – wyznał. – Mogłabyś mnie potrzymać za rękę? Tak będzie mi dużo łatwiej.

Wciąż przytłoczona absurdem sytuacji blondynka nie próbowała protestować. Zbliżyła się i posłusznie

ujęła lewą dłoń Jacka, wysyłając falę ciepła w kierunku reszty jego ciała, a zwłaszcza w okolice serca.

Tymczasem radio wydało z siebie kolejną serię szumów, trzasków i ciszy. Jacek nie był zaskoczony – wiedział, że dokładnie tak miało być. Wziął głęboki oddech, nacisnął ikonę słuchawki, po czym przyłożył telefon do ucha i czekał.

Radio zareagowało szybciej niż się spodziewał.

– Halo, halo, mamy na linii kolejnego słuchacza! – Głos redaktora Misińskiego płynął już nie tylko z magnetofonu, ale też z głośnika komórki i, jak się Jackowi zdawało, także ze wszystkich stron mieszkania. Był tak donośny, że śpiący dotąd bobas wreszcie otworzył oczy i zaczął rozglądać się za źródłem dźwięku. – Cieszymy się, że w końcu do nas zadzwoniłeś, Jacku. Najwyższy czas!

Agata wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Skąd on wie, że...

Jacek uciszył ją mocnym uściskiem dłoni. Potrzebował się skupić na zadaniu.

– Tak. Myślę, że udało mi się rozwiązać waszą zagadkę – powiedział. Głos miał zadziwiająco spokojny i opanowany, choć jeszcze przed momentem bał się, że nie będzie w stanie wyrzec nawet jednego słowa.

– Naprawdę? – Prezenter nie wydawał się przekonany. – No nie wiem, nie wiem... To nie było takie łatwe. Zdradzisz nam, jakie jest rozwiązanie? Tylko wtedy będę mógł ci wręczyć naszą nagrodę.

– Nagrodę...? – Agata była już kompletnie zdezorientowana.

– Nie wymagaj od nielogicznego świata, by działał według logicznych reguł – szepnął Jacek, po czym wrócił do przerwanej rozmowy. – Tak. To wszystko spr-

wiają wasze piosenki, prawda? Przynajmniej te, które ja notuję. Najpierw Mariah Carey sprowadziła do mnie Mikołaja z czyimś *baby*, potem Eaglesi wysłali Agatę do jej dawnego domu, a *Let it Snow* zabrało nam wszystkie miejsca, w które moglibyśmy pójść. Zgadza się?

– No, no... Jestem z ciebie naprawdę dumny, synu! – Redaktor Misiecki, który nagle zabrzmiał zupełnie jak tata Jacka, nie posiadał się ze szczęścia. – Wobec tego domyślasz się pewnie, co za moment pojawi się w twojej lodówce? Podpowiedź: jest małe, czerwone i zaczyna się na...

– Wiem – przerwał mu Jacek – zaczyna się na literę „s”. Czy możemy już porozmawiać o nagrodzie? I o tym, jak przywrócić rzeczywistość do ładu?

– Gu! – zgodził się przebudzony maluch. Słyszając to, Agata podbiegła do dziecka i wzięła je na ręce, po czym wróciła do trwającego na posterunku Jacka. Zaciekawiony nowymi twarzami niemowlak przyglądał się im swoimi wielkimi, ciemnymi oczami.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. Taka niecierpliwa... – Prezenter westchnął, po czym zachichotał. Po chwili jednak spoważniał. – Ale powiedz mi, Jacku, tak zupełnie szczerze... Naprawdę chcesz, żeby wszystko wróciło do normy? W normalności nie ma miejsca na takich, jak ty. Wiesz o tym przecież dobrze. Nie wolałbyś zostać tu – że tak zacytuję utwór zupełnie nieświęteczny – *with all the madmen*? Bez rodziców, bez sąsiadów, bez przykrości ze strony obcych? Po co ci ten prawdziwy świat, co?

Jacek zawahał się. Propozycja redaktora brzmiała kusząco. Niezależnie od tego, czym była ta senna rzeczywistość, w której właśnie przebywał, pobyt w niej zdawał się znacznie lepszą opcją, niż powrót do świa-

ta rozczarowanych nim rodziców, krzywych spojrzeń i różnej maści diagnozujących go specjalistów. Z drugiej strony, wybór wiecznie trwającej „Listy” oznaczałby rezygnację z walki o siebie. Jeśli tu zostanie, nigdy nie będzie mieć szansy naprawdę zadzwonić do radia, zaprosić Agaty na randkę ani poczuć, jak to jest być ojcem. Dlaczego miałby się tego wszystkiego pozbawiać, zadowolając się jakimś sennym substytutem?

– No cóż, skoro taka jest twoja decyzja... – stwierdził czytający mu w myślach spiker. – Niech i tak będzie. Wrócisz na drugą stronę, kiedy tylko będziesz gotowy. Ale zanim to zrobisz, odbierz swoją nagrodę. Tylko tu jestem w stanie ci ją dać. Ach, zapomniałbym... – Wokół chłopaka rozbrzmiały fanfary i odgłosy wiwatującego tłumu. – No więc, Jacku, skoro formalności mamy już za sobą, mów: czego ode mnie oczekujesz?

Jacek odsunął na chwilę słuchawkę od ucha i zwrócił się do Agaty.

– Masz jakieś specjalne życzenie? On może nam dać wszystko, o co poprosimy – wyjaśnił.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Dziewczyna wciąż nie mogła pojąć, co się właściwie dzieje.

– Bo to wszystko to teraz *moja własna* audycja. *Ja* ją prowadzę i *ja sam* układam zestawienie.

Agata pokręciła głową.

– Nic a nic z tego nie rozumiem – oświadczyła. – Ale jeśli to prawda, chciałabym spędzić te Święta z mamą. Brakuje mi jej. – Spuściła wzrok i przełknęła ślinę, po czym spojrzała na Jacka z ciekawością. – A ty?

– Ga-gi! – oświadczył nagle maluch w jej ramionach, jak gdyby chciał odpowiedzieć za Jacka.

Chłopak uśmiechnął się, najpierw do niego, potem do Agaty. – A ja chciałbym spędzić je z wami.

Wkrótce po pojawieniu się pani Anny, wyjaśnieniu jej całej sytuacji i opanowaniu podstaw obsługi niemowlaka cała czwórka zasiadła przy stole, by omówić plan na resztę wieczoru. W efekcie poczynionych ustaleń mama dziewczyny zabrała się za przygotowanie barszczu, Agata próbowała zabawić dziecko nazwane przez nią Śliniakiem, zaś Jacek zajął się składaniem kartonowej choinki. Gdy drzewko było już gotowe, usiedli przy nim wszyscy – on, Agata, jej mama i gaworzący Śliniak – z barszczem w plastikowych talerzach. To znaczy – Śliniak nie usiadł, tylko został na powrót ułożony w koszyku.

Wyglądali tak niczym tania parodia Świętej Rodziny, model trzy plus jeden, równie trwałe jak choinkowy budulec; a jednak w absurdzie całej tej sytuacji znajdował Jacek coś ujmującego, ciepłego, dobrego i prawdziwie świątecznego. *Dopiero poza własnym domem człowiek może poczuć się jak w domu* – stwierdził nagle, kontemplując widok dziewczyny cierpliwie wycierającej umorusaną buzię Śliniaka. Popiwszy tę słodko-gorzka refleksję zimnym już barszczem, doszedł do wniosku, że nawet jeśli to wszystko jest tylko snem albo rojeniami jego pokręconego umysłu, tak przyjemnej Wigilii nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu.

Dobrze wiedział jednak, że ta chwila nie będzie trwać wiecznie; sam przecież o tym zdecydował. Patrzył więc, jak z każdą kolejną piosenką jego idylliczny świat kurczy się i niknie w oczach, usuwając z siebie kolejno barszcz, choinkę, butelkę Śliniaka i całą resztę tworzących go rekwizytów. Głosy wokół stawały się

coraz cichsze, a śnieg za oknem był coraz rzadszym widokiem. Roześmiane twarze gości stopniowo zacierały się, aż wreszcie całkiem straciły ostrość, zmieniając się w barwne powidoki.

A potem radio wypluło z siebie ostatnie dźwięki *Christmas Time* (ulubiona piosenka Jacka, w tym roku po raz pierwszy na szczycie) i „Świąteczna Lista Przebojów” dobiegła końca.

Lech Baczyński

Last Christmas

Samochód w deszczu stał.

Radio przestało grać...

Dominika Wierchońska oparła głowę o deskę rozdzielczą samochodu i westchnęła. Pojazd, drżąc lekko, unosił się nad parkingiem przy przekopie Mierzei. Obok lewitowała wielka choinka ozdobiona kolorowymi bombkami. Na przekór słowom piosenki nie padało – od lat nie lał porządny deszcz. Grudniowe słońce prażyło dość mocno, termometr pokazywał trzydzieści pięć stopni.

...Spragniona życia wciąż...

Dotknęła panelu radia. Piosenka zamilkła. To był jej ulubiony utwór z końcówki XX wieku. Mimo tego, że miał aż 134 lata – ukazał się w 1996, wiedziała to dokładnie – wydawał się ponadczasowy.

Dominika otarła oczy wierzchem dłoni, pociągnęła nosem. Spuściła osłonę na szybę i przejrzała się w lu-

sterku. Nie wyglądała tak dobrze, jak zazwyczaj, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Szkoda czasu. Dotknęła radia, piosenka zabrzmiała od tego momentu, na którym ją zapauzowała. Kobieta położyła dłoń na kontrolerze między fotelami. Samojezd płynnie ruszył, wycofał z parkingu i poleciał nad przekopem, w kierunku Jastarni.

* * *

Armand Konkel wprawnym ruchem zebrał talerze i sztuce ze stolika.

– Smakowało państwu? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała kobieta, patrząc w telefon.

– Ależ wyśmienita rybka! – Mężczyzna siedzący obok niej ożywił się. – Ostatni raz tak dobrą solę jadłem w Genewie.

Kobieta oderwała wzrok od telefonu i spojrzała na towarzysza.

– Wtedy jak pojechaliliśmy do CERN-u? – zapytała.

– Tak, na otwarcie tego nowego zderzacza hiperonów.

Znowu fizycy – pomyślał Armand. Jedni już dziś byli w restauracji, gadali o pułapkach magnetycznych czy czymś takim.

Odniósł talerze. Gdy wrócił, para milczała.

– Czy życzą sobie państwo deser?

– Jasne, raz się żyje. Dwa razy tiramisu, dwie kawy z soylentem – powiedział fizyk.

– Polecam świąteczny piernik.

– Czemu nie! – odpowiedział. – Kochanie, chcesz? – zwrócił się do kobiety.

Kiwnęła głową, patrząc w ścianę.

– To jeszcze weźmiemy dwa kawałki piernika.

Po kwadransie skończyli deser i zebrali się do wyjścia. Armand podniósł drewnianą skrzyneczkę, do której wcześniej włożył rachunek, i zajrzał do środka. Oprócz należności za posiłek, całkiem sporej, zostawili szczodry napiwek. Dziś klienci byli wyjątkowo hojni. Ucieszył się, humor miał coraz lepszy. A jeszcze rano czuł się rozdrażniony. Kierownik kazał mu tego dnia obsługiwać gości od otwarcia restauracji aż do zamknięcia, po uroczystej kolacji. Marek, drugi kelner, twierdził, że musi spędzić całą Wigilię z rodziną. Dlatego Armand od rana był rozżalony, i nie chodziło o pracę 24 grudnia. Ani on, ani większość znanych mu osób, oprócz Marka, nie przejmowała się tradycjami świątecznymi. A jeśli zachowywali jakieś dawne zwyczaje, to głównie za namową dziadków, ewentualnie rodziców. Ale dziadkowie Armada już nie żyli, a rodzice przeprowadzili się na starość na Księżyc.

Nie, Armand czuł się rozżalony z powodu tego, że ktoś śmiał czegoś od niego wymagać, nie wysłuchawszy wcześniej jego opinii. Odkąd zaczął pracę, nikt mu jeszcze tak bezpośrednio i obcesowo nie kazał niczego zrobić, a przecież kierownik mógł go uprzejmie poprosić i pozostawić wybór.

Ale robota w Wigilię miała też dobre strony – napiwki wpadały dziś piękne, kupi sobie po Świętach jakiś fajny prezent, może kolejną zabytkową latającą deskę.

Gdy para gości wychodziła, w drzwiach restauracji minęła się z elegancką kobietą. Atrakcyjna, ubrana w zwiewną sukienkę, miała ze trzydzieści-trzydzieści pięć lat – o dekadę więcej niż Armand. Przez chwilę z przyjemnością obserwował, jak szybko wybiera stół i idzie zdecydowanym krokiem. Już po chwili stał

nad nią, podając ciężkie papierowe menu w okładkach z syntetycznej skóry.

– Dziękuję, nie potrzebuję karty – powiedziała kobieta, patrząc na Armanda wielkimi, różowymi (najmodniejszymi w tym roku) oczami. – Zdam się na pana wybór, niech mi pan coś poleci. Coś wyjątkowego, najlepszego.

– Dziś proponuję stek z hiszpańskiej wołowiny, ewentualnie...

– Dobrze – przerwała mu. – Proszę stek. Duży i półkrwisty. I kieliszek wina, czerwonego, jakiegoś dobrego.

– Wspaniale, proponuję wino z marsjańskiej doliny Athabasca, ewentualnie z księżycowego krateru Piccolomini, jest w nieco przystępniejszej cenie.

– To marsjańskie jest najlepsze, jakie macie?

– Jest jeszcze jedno, wyjątkowe... – Przerwał na chwilę, by przypomnieć sobie nazwę. – *Domaine Mars Vallée Hebrus Grand Cru*, ale uprzedzam, że kosztuje...

– Nieważne. Wezmę to najlepsze.

* * *

Obserwował ją, gdy siedziała przy stoliku, sam schowany dyskretnie w cieniu wielkiej choinki stojącej pod ścianą sali. Jadła spokojnie, powoli, zamykając oczy przy każdym łyku. Wino piła z namaszczeniem, kręcąc płynem w kieliszku i rozkoszując się aromatem. Gdy skończyła, podszedł, by zaproponować deser.

– Jak ci na imię? – zapytała kobieta.

– Armand.

– Oryginalnie. Dominika. Słuchaj, *sorry*, że tak bezpośrednio, ale masz jakieś plany na Święta?

– W sumie nie. Dziś pracuję do dwudziestej drugiej, bo wydajemy kolację wigilijną dla gości hotelowych. Polecam, swoją drogą, przygotowaliśmy wyśmienite potrawy. Barszczyk śliwkowy, azjatyckie pierożki, chipsy z karpia, piankę z fasoli. A jutro to planowałem cały dzień leżeć przed holowizorem. Co innego można zrobić w Święta?

– Słuchaj, potrzebuję... przewodnika. Żeby mi pokazał Jastarnię, co tu jest fajnego i tak dalej.

– To może jutro...

– Żadne jutro. Dzisiaj.

– Mam pracę.

– Zapłacę tyle, ile zarabiasz za miesiąc roboty tutaj.

Armand westchnął. Jeżeli opuści restaurację, na pewno dostanie reprimendę. Może nawet straci premię albo – tej myśli, choć kiełkowała mu w głowie, usilnie nie chciał dopuścić – wyrzucą go z pracy.

– To co? – zapytała nieznajoma i uśmiechnęła się. Armand nie mógł oderwać oczu od jej uśmiechu. To przesądziło sprawę.

– Raz się żyje – powiedział, przypominając sobie słowa poprzednich klientów.

Z restauracji na obrzeżach Jastarni szło się do centrum obok lotniska polowego, służącego głównie turystom, którzy przybywali na wczasy czy też kupowali loty widokowe lub skoki spadochronowe. Dziś wzdłuż ogrodzenia lądowiska stało wyjątkowo dużo samojezdów, głównie z warszawskimi rejestracjami. Na lotnisku panował ruch, samoloty co chwila startowały i lądowały.

Przystanęli obok ogrodzenia. Dominika postawiła elegancką torbę plażową na trawie. Armand poprawił czapkę z daszkiem. Obok nich zatoczył się pijany facet.

– Całe życie chciałem skoczyć na spadochronie – powiedział bełkotliwie i pociągnął z butelki. – Teraz się w końcu, kurde, odważyłem. Dopiero, kurde, teraz.

Coś jeszcze mówił, ale jego słowa zagłuszył ryk silnika kolejnego startującego samolotu. Mały odrzutowiec w kilka sekund nabrał prędkości, oderwał się od ziemi i rozpoczął ostre wznoszenie. Gdy się oddalił, mogli w końcu posłuchać, co miał do powiedzenia pijaczek, ale ten już sobie poszedł.

– O, patrz! – powiedział Armand, wcielając się w rolę przewodnika. – Będą skakać.

Stali z Dominiką, patrząc na wznoszący się samolot. Po chwili odrzutowiec wyrównał lot, zatoczył pętlę i nadleciał nad lotnisko. Z samolotu wyskoczyło dwóch spadochroniarzy. Małe punkciki szybko rosły w oczach. Byli już dość blisko ziemi, ale Dominka i Armand nie widzieli czas spadochronów.

– No, otwierajcie! – mruknęła Dominika.

– Zaraz otworzą – uspokajał ją chłopak, choć sam dziwił się, czemu jeszcze tego nie zrobili. Zazwyczaj na tej wysokości kolorowe płachty w pełni się rozkładały.

– Nie otworzą – westchnęła.

Skoczkowie pędzili ku ziemi. Kobieta w ostatniej chwili odwróciła się i wtuliła głowę w pierś Armanda. Dwa następujące tuż po sobie odgłosy uderzenia ciała w łąkę obok lotniska zabrzmiały zaskakująco delikatnie.

– Chyba... – powiedział. – Chyba im się nie otworzyły. Może to awaria. Ale że obu na raz?

– Tak, pewnie awaria – odparła i otarła oczy.

Zeszli z drogi i pomaszerowali przez las, ścieżką wyłożoną gumowymi płytami, przyjemnie amortyzującymi kroki.

– Gdzie zaczynają się strzeżone plaże?

– Już niedaleko.

– To skręćmy tu, pójdziemy na dziką. Tam chyba jest ścieżka.

– Na dziką? Ale tam jest brudny piasek! Może nawet z mikroplastikiem. My tu mamy bardzo dobre strzeżone plaże, najnowsze roboty ratownicze, świetne *beach bary*, prawdziwe palmy, a co noc posypują piasek nanobotami czyszczącymi. A na dzikiej to nic nie ma, leżą jakieś kamienie, patyki, wodorosty przy brzegu...

– Nie bój się. Nic nam nie będzie. Baru nie potrzebujemy, mam w torbie dwa soylenty wysoko-procentowe. A jak byłam mała, to jeszcze nikt nie wypuszczał nanobotów na plaże. A teraz... Ech, do wszystkiego by je ładowali. Durnie.

Przeszli przez wąski pas lasu oraz wydmy. Zignorowali tabliczki ostrzegające przed niszczeniem roślinności.

– Po co nam teraz jakieś krzaki? – skwitowała Dominika.

Usiedli na nagrzanym piasku. Rozmawiali, patrząc w bijące wciąż o brzeg fale. Armand opowiadał o swoim dość zwyczajnym życiu. Cały czas mieszkał na Mierzei, niedawno zaczął pracę w restauracji. Dominika była zatrudniona w instytucie udoskonalającym oprogramowanie samojezdów. Odkąd w końcu zakazano samochodów prowadzonych ręcznie, takie ośrodki uzyskały spore dofinansowanie.

Dominka położyła się na piasku. Armand nieufnie obejrzał podłoże, ale też poszedł w jej ślady.

– Dlaczego wybrałaś taki zawód? – spytał.

– A ty?

– Tak wyszło. Nie zastanawiałem się nad tym.

– A ja... – przerwała. – A, dobra, powiem ci, co mi szkodzi. Teraz to już nie ma znaczenia. Otóż mojego ojca przejechał ostatni samochód prowadzony ręcznie.

– O kurczę, serio!?! – zdziwił się i od razu pożałował, że nie ugryzł się w język.

– Tak. Ale to stare dzieje.

Porozmawiali przez chwilę o lżejszych tematach. Armand miał nadzieję, że zatarł złe wrażenie. W pewnym momencie Dominika uniosła się na łokciu.

– Wiesz, dlaczego przyjechałam nad morze?

– Dlaczego?

– Jest taka piosenka. Moja ulubiona. *Na jednej z dzikich plaż*. Straszny staroć. Ale to jeden z kilku utworów z XX wieku, o których jeszcze ktoś pamięta.

– Ciekawe, mój ojciec też bardzo ją lubił. Mówił, że to się wiązało z jakąś dawną historią, zanim jeszcze poznał moją matkę – odparł Armand, siadając. – Ja to lubię te wszystkie trzy najsłynniejsze piosenki. I *Last Christmas*, i *Ta ostatnia niedziela*.

– *To ostatnia niedziela*.

– Co?

– Taki jest prawidłowy tytuł. „To”, nie „ta”. A co do *Last Christmas* – faktycznie, świetnie dziś pasuje. Świetnie. *To ostatnia niedziela* w sumie też pasuje, bo dziś jest niedziela.

– *Laaaast Christmaaas...* – zaczął Armand, fałszując okrutnie.

– Czekaj, może lepiej ja coś zaśpiewam – przerwała mu. – *Dotknęłam kolan twych, nie liczyliśmy gwiazd* – zanuciła. Położyła dłoń na jego kolanie. Zaraz cofnęła rękę i zerwała się. Odwróciła się do Armanda plecami, zrobiła trzy kroki i patrzyła w mo-

rze. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Po chwili spojrzęła na chłopaka i spokojnie do niego podeszła.

– Wstań – powiedziała – i zatańcz ze mną.

– Bez muzyki? – próbował oponować.

Dotknęła skroni, tuż koło antenki. Piosenka, której słuchała w samojeździe, zabrzmiała znowu, tym razem w wersji bez słów.

– Jak to tam w tej piosence szło? – spytał. – Zatańczysz ze mną jeszcze raz, ostatni raz, jak gdyby umarł czas?

– Nie, głuptasie – mruknęła. – Poczekaj, puszczę ze słowami.

...dzisiaj ostatni raz

zatańczmy proszę tak, jak gdyby umarł czas...

– Zatańcz ze mną – szepnęła – jakby to naprawdę był ostatni raz.

* * *

Promienie porannego słońca wpadały przez okno pokoju hotelowego prosto na twarz Dominiki. Obudziła się, usiadła na łóżku i przeciągnęła. Dotknęła radia stojącego na nocnym stoliku. Kontrolki zamigotały dyskretnym blaskiem, ale z urządzenia nie dobiegł żaden dźwięk. Przesunęła palcem po panelu, by zwiększyć głośność. Nadal cisza.

– *Radio przestało graaać* – zanuciła.

Dotknęła skroni, włączając stojący pod ścianą holowizor. Pusta niebieska poświata odbiornika nastrojonego na nieistniejący kanał miała barwę nieba nad portem w zimie.

– A więc straciliśmy Krakowice – powiedziała.

Armand podniósł głowę z poduszki. Już od chwili nie spał, obserwując Dominikę spod półprzymkniętych powiek.

– „Straciliśmy”?

– Słuchaj... To wszystko, co tu się dzieje... Zauważyłeś, że jest trochę dziwne, nie?

– Uhm – mruknął. – Ale co mówiłaś? Że straciliśmy stolicę?

– Tak sądzę. Dlatego nie nadają holowizji ani radia. Studia, anteny, dziennikarze – nie istnieją.

– Co? Znowu jakiś zamach?

– Gorzej. Kojarzysz Bochnię?

– Tę dzielnicę Krakowic?

– Tam, głęboko pod ziemią, w dawnej kopalni, moi koledzy prowadzili badania. Nie znam szczegółów. Ten, który do mnie dzwonił, bardzo się spieszył, sam rozumiesz. Mówił mi, że zrobili nanoboty – no, takie jak do czyszczenia plaży – ale umiające budować swoje kopie. Z każdego znalezionej materiału. No i one im uciekły.

– Jak to uciekły?

– Wydostały się ze skrzyń magnetycznych. Próbowali łapać, ale wszystko pożerały i robiły z tego swoje kopie. Przez ziemię i wodę podobno przechodzą powoli, ale przez całą resztę – jak kolonia głodnych termitów, a im jest ich więcej, tym więcej swoich kopii robią... Szybciej się rozprzestrzeniają. Rozeszły się poza kopalnię. Wczoraj o świcie dostałam telefon, wsiadłam w auto...

– I to się dalej rozłazi? – przerwał jej.

– Tak. W każdym kierunku. Do nas też.

– Uciekajmy! Mamy tu lotnisko. Może załatwimy...

– I co to nam da? Możemy polecieć nawet na Hawaje, nie uciekniemy przed tym. Może kupi to nam je-

den dzień więcej. Z którego większość spędzimy w ciasnym samolocie. W grobowej atmosferze.

– Dokąd to draństwo doszło?

– Nie wiem. Może jest w pół drogi do Warszawy.

A może już za nią.

Armand rzucił krótką, ale siarczystą wiązaną przekleństw.

– I nic mi nie powiedziałaś? – dodał.

– Chciałam, by ten ostatni czas...

Zerwał się z łóżka, wciągnął spodnie i założył T-shirt.

– Poczekaj! – krzyknęła.

Nie słuchał jej. Wypadł z pokoju i popędził korytarzem. Chciała biec za nim, ale zatrzymała się w drzwiach, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że jest naga. Wróciła do środka.

– Gówniarz – mruknęła pod nosem, gorączkowo zbierając z podłogi elementy garderoby.

Armand wybiegł z hotelu wprost na główny deptak, prowadzący ku Zatoce Gdańskiej i wcinającemu się w nią molu. Pędził, potykając się i dysząc. Wpadł na pomost, ponadstuletnie deski dudniły pod jego bosymi stopami. Dobiegł do końca, cały czas wypatrując na horyzoncie wieżowców Trójmiasta. Ale ich już nie było.

Marek Wygnany

Agloe. Świąteczny *transpunk*

– Cholerny rzęch! – wykrzyczał Gabriel, posyłając nie działający motocykl na glebę. Zapadał zmierzch, a do farmy zostało mu jeszcze z dziesięć kilometrów. Człowiek spodziewałby się, że amerykańska robota, nawet ta znaleziona na śmietniku, będzie odrobinę bardziej fachowa.

Chociaż tyle, że podróżował lekko. Wziął juki zawieszane na kole i przerzucił je sobie przez ramię. Ciepły wełniany kożuch przylgnał gładko do własnoręcznie farbowanej koszulki. Obiecał, że będzie w domu na Święta, to będzie. Najwyżej ominie go wieszanie bombek na choince. Albo pieczenie sernika.

Zima nie była sroga tego roku. Łagodnie zбочa doliny Spring Brook w Delaware zawsze przypominały mu czasy beztroski i zagubienia. Maszerując wzdłuż stanowej jezdni, rozkoszował się ostatnimi chwilami milczących drzew, szemrzącego strumienia i śniegu trzeszczącego pod wojskowymi trepami.

I jelenie. Las pełen był ogromnych byków, których czoła niemal zawsze spływały krwią. Albo może to tyl-

ko las z jej wspomnień, podszytych drugą płytą Cre-
edence Clearwater Revival. Jego wspomnień, poprawił
się. Chryste, rozpamiętywanie przeszłości jest tak cho-
lernie trudne.

Na szczęście Chrystus nie wziął tego osobiście i ze-
słał Gabrielowi posłańca. Wyłonił się zza pleców, stary
Mustang ryczał antycznym gaźnikiem. Zatrzymał się
obok i opuścił szybę. Z wewnątrz dobiegł spokojny mę-
ski głos.

– Ej, mała, jesteś pewna, że nie chcesz się ze mną
zabrać do Roscoe? – Zapadła między nimi cisza. Kie-
rowca nachylił się do okna, pokazując ciemny kaszkiot.
Przetaksował włóczęgę wzrokiem. – Synu, serio zimno
jest, a ja akurat wracam z ostatniego namaszczenia.

– Dobrze wyglądacie. – Gabriel uśmiechnął się.
W mdłym oświetleniu samochodowej lampki i tak wi-
dział jego gładką cerę i rzeźbiony podbródek. Pastor
zbliżył się do trzydziestki. Autostopowicz pociągnął za
klamkę, ułożył juki w nogach i władował się na przed-
nie siedzenie.

Ruszyli. W radiu leciał Ram Jam. Ojciec patrzył
trochę tępo na drogę, stukając kierownicę w rytm *Black
Betty*.

– Więc... – zaczął niemrawo rozmowę – co cię
sprowadza do Roscoe?

– Nie do Roscoe. Możesz wysadzić mnie przy skle-
pie w Agloe. Moja rodzina ma farmę w okolicy – od-
powiedział Gabriel. Uświadomił sobie, że wyjawiał za
dużo.

Te słowa pobudziły pastora.

– O! Czyli jesteś chłopakiem od Stensonów? Mar-
ley straszenie się o ciebie martwił... – powiedział z prze-
jęciem.

- Nie – odparł Gabriel.
- Gorłomi?
- Nie. Whateley.
- Kpisz, synu. Z tych Whateleyów?

– Tak. – Gabriel zastanowił się, o czym tubylec może wiedzieć. – Marco „niewolnictwo to prawo stanowe” Whateley to mój ojciec.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Swego czasu Marco ufundował niemożliwie obleśny pomnik Nathana B. Forresta, który natychmiast został okrzyknięty najbrzydszym pomnikiem świata, a sam Gabriel regularnie musiał czyścić go z farby albo zdejmować z niego przebrania. Sięgnął szczytu splendoru, kiedy szkolni skejterzy spakowali go szczelnie w strecz. To był ładny nagłówek w gazecie. Zwłaszcza, że zaczynał się od słów „szkarada spacyfikowana”.

– To gdzie się podziewałeś właściwie? I jak długo? Whateleyowie to pobożna rodzina, ale zawsze macie tę niepokojącą aurę...

– Tylko niektórzy. Lavinia jest kochana. Murphy jest miły, jeżeli lubisz słuchać o tym, ile ma szmalu. Ale głównie siada im na czerep od udarów słonecznych. – Gabriel uśmiechnął się kwaśno. Próba odciążenia rozmowy od zawartości szopy okazała się sukcesem. – Trochę się martwię, jak mnie przyjmą po powrocie. Mięły dwa lata. A ja bardzo się zmieniłem.

Wielebny spojrział na zegarek.

- Słuchaj... – zaczął.
- Gabriel – uzupełnił włóczęga.

– Słuchaj, Gabriel, możemy się umówić tak: wpadnę na kawę, kiedy przyjedziemy i chociaż pomogę ci wytłumaczyć, co się dzieje, poarbitruję. Mam nadzieję, że mój autorytet da ci małe fory.

– Masz czas na takie rzeczy?

– Mogę odrobinę naciągnąć mój czas. – Pastor rzucił okiem na czarno-białe zdjęcie kobiety na desce rozdzielczej. Z piersi Gabriela wyszło ciche „och”.

– Dzięki – dodał włóczęga. – Jeśli Pan z nami, to któż przeciw nam?

* * *

Dom na farmie, biały, piętrowy budynek z wolna porastający bluszczem spowijała księżycowa poświata i smród obory. Pomimo niedalekiej odległości od Roscoe Prudence nie chciała podłączać farmy do sieci elektrycznej. Matrona klanu Whateley podejrzewała, że to komunistyczny spisek i prawdziwi czerwonokrwieci Amerykanie nie potrzebują marksistowskiego systemu szpiegowania. A radio może chodzić na baterie. Jedyne źródło światła pochodziło z okna na piętrze. Okna jego starego pokoju.

Zatrzymali się na podjeździe obok migoczącego cadillaca.

– Twojego brata? – zapytał pastor i wskazał na sedynowy kloc w ciemności. – Wiesz, to jest to, o co mi chodziło z tą niepokojącą aurą. To miejsce przyprawia mnie o ciary.

Gabriel skinął głową. Wysiedli z auta i stanęli przed drzwiami. Przez szczeliny w ścianie wydobywał się zapach pieczonego indyka i czosnku. Zapach otarł się o nich, jakby przeszli przez kurtynę, a teraz czekali na podświetlenie reflektorem w małym klubie. Włóczęga zakasłał nerwowo i załomotał w drzwi.

Długą chwilę zajęło rodzinie Whateleyów wydelegowanie kogoś do otworzenia drzwi. Gdy te rozwarły

się z hukiem, za progiem stanął Marco Whateley. Barczysty jak niedźwiedź i jak niedźwiedź zarośnięty. Choć dwururka sugerowała, że jego dusza niedźwiedzia miała kiedyś innego właściciela. Gabriel zachichotał.

– *Padre* jak zwykle, z włoską gościnnością? Nie było mnie dwa lata, spodziewałem się, że chociaż na Święta cyngiel cię nie będzie świerzbil.

– Kto to jest? – wycharczał stary, wskazując lufą na kapłana. – Drugi powsinoga? Amisz?

„Priorytety jak zwykle na miejscu” chciał powiedzieć Gabriel, gdy pastor uchylił kaszkiet. – Wybaczcie, panie Marco – powiedział. – Jestem John Green, wielebny w parafii baptystów w Roscoe. Wasze dziecko najwyraźniej utraciło pojazd na trasie i akurat Bóg złączył nasze drogi...

– I pomyślałem – wtrącił Gabriel, wypływając słowa jak karabin maszynowy – że mogę wynagrodzić równemu bracholowi fatygę. Wiesz, żaden dobry uczynek nie umyka niespłacony i te sprawy.

Marco Whateley opuścił lufę broni i podrapał się po brodzie. Gabriel wiedział, że usta pod tymi kudłami składały się w wyraz skrajnej pogardy.

– No to się ładujcie, *padre*. Rozgoście się i nie gadajcie w mieście, żem was źle przyjął – ogłosił jowialnie Marco, po czym uściśnął syna i wysyczał mu do ucha: – Jak się okaże drugą komuszką, to wyjedziecie jak zapalki.

Gabriel zaśmiał się nerwowo.

– Też się cieszę, że cię widzę. Gdzie jest Wilbur?

– W szopie – odpowiedział krótko senior i najwyraźniej uświadomił sobie że dawno nie wetknął swojemu synowi widocznej szpili. – Przestań, córusz, trzymać naszego gościa na mrozie. I mnie, jeśli chodzi o ściśłość.

Weszli do salonu. Wszystko pobrzmiwało jak miedź brzęcząca, pomarańcze na choince, kolorowe zawieszki, skarpety na kominku wydawały się czymś, na co dobrze spojrzeć mogło jedynie dziecko. Trochę jakby tylko czubki tych rzeczy były porażone zarazą, niewidoczną z perspektywy bąbelka. Zastęp biegających dzieciaków na pewno bawił się dobrze, młodzi dorosli grzejący księżycówkę po kątach w sumie też. Marco nonszalancko zawiesił strzelbę nad kominkiem, po czym zaprowadził pastora do kuchennego stołu. Nad framugą prowadzącą do jadalni wisiał wieniec z bukszpanu jemioly.

Gabriel odetchnął z ulgą i poleciał na górę. Wiedział, kogo znajdzie w dziewczęcej sypialni. Pchnął drzwi, czując znajomy opór tarcia o podłogę. *Dwa lata, a chłopcy dalej nie mogły się tym zająć* – pomyślał z niesmakiem. *Wezmę jutro młotek i sam to zrobię.*

– Lavinia! – zawołał od progu. Miał nadzieję, że jego siostra wykrzesze z siebie choć iskrę sympatii. Podbiegł do niej i już chciał ją uścisnąć, gdy Lavinia odpowiedziała niespodziewanym kuksańcem.

– Och, wreszcie się pojawiłaś. – Słowa siostry były ostre jak sople lodu. Lavinia nie zamierzała się powstrzymywać z misgenderowaniem brata. – Nie dość już napsułaś wszystkiego? Wracaj do kopalni, chimero.

Gabriel zmarszczył brwi.

– Co cię ugryzło? Cięża ci się na mózg rzuciła? Czy Marco opowiada o mnie jakieś niestworzone pierdoły?

Trafiony – zatopiony – pomyślał, widząc, jak na czoło siostry występują pierwsze krople potu.

– Więc? – Gabriel pociągnął ją za język. – Co o mnie opowiada stary Marco? Jestem marksistowskim diabłem? Zrobię wam drugie Stonewall?

– Mówi, że zastrzelisz Wilbura – powiedziała. – Że ruskie ci wyprali mózg w tych Appalachach i teraz jesteś uśpionym agentem. Mogłaś zostać i być normalną kobietą. Nawet ten chłopak od Gorlomich chciał cię za żonę. Dlaczego mi to robisz, dlaczego zostawiasz mnie samą? Musisz się zachowywać jak to... coś?

– Jakie „coś”, hm?! – Gabriel nie chciał ustąpić nawet o krok. Jeśli nawet Lavinia tak o nim myślała, nic tu po nim.

– Znikasz na dwa lata. Zostawiasz mnie z dzieckiem. Mimo że dobrze wiesz, że alimenty to tylko srebrne krążki, a ja nie mam drugiej siostry, z którą mogłabym zostawić młodego. Chcesz, żebym ci dała order za takie zachowanie? Nasza rodzina rozłązi się w szwach. Przez ciebie.

– Ja jestem twoją rodziną! – ryknął Gabriel. Jego cierpliwość do misgenderowania się wyczerpała. – Ja ci, kurwa, pokażę, co niszczy amerykańską rodzinę!

Wybiegł z izby jak breneka z włoskiego obrzyzna. Zbiegł po schodach i wpadł do sieni, dokładnie w tym samym momencie co Marco i jego nowy znajomy. Dzieciaki rozpierzchły się jak ustrojone karaluchy. Przez chwilę sień wypełniła się ogłuszającym dźwiękiem trzaskającego kominka.

Spojrzeni na siebie. Stali po przeciwnych stronach pokoju – ojciec pod jemiołą, syn na ostatnim schodku, mrużąc oczy i krzywiąc usta. Młody Whateley zrobił krok do przodu.

– Gabriel! – Jego ojciec na chwilę przywdział maskę dobrotliwego starca. Wskazał dłonią na pastora. – Przegadujemy z ojcem Johnem twoją sytuację i zgadzamy się, że jesteś bardzo zaniepokojoną młodą dziewczyną, ale...

Gabriel zrobił kolejny krok naprzód i złapał za broń wiszącą nad kominkiem. – W tej rodzinie może być tylko jeden potwór! – wykrzyknął, otwierając drzwi wejściowe kopniakiem. Słyszał za sobą kroki rodziny, ale miał wrażenie, że oddziela ich czerwone morze. Rycząca ściana krwi w jego uszach.

Stanął przed wrotami stodoły, upewnił się, że w ma amunicję w strzelbie i zawołał.

– Wilbur, ty wsobnie hodowana porażko rzeźnika! Pokaż się! IÄÄ! Czarna kozico z tysiącem młodych!

Rzucił spojrzeniem za siebie. Dwie sylwetki na gan-ku stały w osłupieniu. Gabriel zauważył, jak z ciemnego kształtu zwalistego Marco wysuwa się ostrze siekier-y, kiedy front stodoły eksplodował. Wśród opadającej chmury trocin, przez ziejącą dziurę, jego oczom ukazał się ciemny kształt cysterny na okrągłych słoniowych no-gach, okolony oczami jak jajka w galarecie. Koszmar zro-bił kilka kroków naprzód, trzęsąc się i ziemię pod sobą.

– ALEŚ TY, KURWA, URÓŚ! – wypluwał płuća Gabriel, w nadziei że pastor i patriarcha go słyszą. – JESTEŚ RAKIEM NA RZECZYWISTOŚCI. NIE POWINIENEM UCIEKAĆ. POWINIENEM SIĘ TOBĄ ZAJĄĆ JAK BYŁEŚ MAŁY!

Koszmar wyszedł do końca ze stodoły. Na jego cielsku rozwarł się nieregularny wieniec paszcz wypeł-nionych rzędami ludzkich kłów i trzonowców. Gabriel wycelował strzelbę i pociągnął za spust. Deszcz śrutu uderzył w Wilbura, zostawiając ślady czarnej posoki, lśniącej w księżycowej poświacie. Potwór odpowiedział, wystrzeliwując ze swego grzbietu tuzin macek, każda dłuższa od poprzedniej.

Święty Jerzy, weź mnie w swą opiekę – pomyślał Ga-briel, pozwalając się złapać się w pasie. Potwór uniósł

go i przybliżył do swojego grzbietu, który ział paszczą pokrytą nieskończonymi rzędami zębów. To musi widzieć węgielek na chwilę przed wydobyciem. Gabriel uniósł strzelbę do oczu i wycelował w najbardziej mięsiste wyglądającą wypustkę w paszczy Wilbura.

Pociągnął za spust. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był gejzer czarnej juchy zalewającej jego oczy i ubranie, po tym ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

Obudził się wiele godzin później. Zerwał się nagle, jakby ktoś wyrwał go ze złego snu. Rozejrzał się. Był w celi, razem z dziewczyną z irokezem.

– Niech zgadnę – powiedział Gabriel. – Morderstwo i pedofilia?

– *Yep* – odpowiedziała dziewczyna. Pod jej dzinsową kurtką ziała koszulka The Clash.

– Im więcej się zmienia, tym więcej rzeczy pozostaje bez zmian – powiedział kwaśno Gabriel i uderzył leżącym nieopodal kubkiem w kratę celi. Przerabiał tę lekcję tyle razy...

Gdy klawisz wszedł w pole widzenia, włóczęga nie zapytał go, skąd wzięło się oskarżenie o pedofilię ani jakim cudem zarąbany pastor nie zostawił na nim nawet kropli krwi. Żeby uwięzić transa jak on, policja potrzebowała wymówki, nie dowodów. To dlaczego został zamknięty z kobietą, nie zbliżyło się do pierwszej dziesiątki możliwych pytań.

– Co zniszczyło szopę Whateleyów? – zapytał zimno skazany.

Klawisz uśmiechnął się paskudnie

– A coś zniszczyło? Zostałaś przywieziona przez Marco Whateleya, który twierdzi, że wcześniej ogłuszył cię siekierą. I zdjął cię ze swojej wnuczki, lesbo – powiedział z sadystycznym uśmiechem. Mógł teraz

wyciągnąć rewolwer, władować w pojmanego kulę i nikt nie zadawałby pytań.

– Co z Wilburem? Na wolności jest monstrum zrodzone z boga mieszkającego poza czasem i przestrzenią. Ma dwadzieścia stóp wzrostu i nastawienie ciężarówki z antologii Kinga. Znaczy, idzie zabić nas wszystkich.

– Tak? I co jeszcze? Słuchaj, to może teraz dostanę telefon... – Klawisz nonszalancko oparł się o radio z karteczką „zepsute”. Na obudowie stała mała choineczka.

Cała trójka zwróciła uwagę na czerwony aparat zawieszony na ścianie. Zaczął dzwonić.

– Dalej. Zrób mi dzień. Odbierz. – powiedział buńczucznie Gabriel przy wtórze śmiechu punkowy. Zaczęła nucić *Strzelby z Brixton*. – Usłysz anielską trąbę. Przełam pieczęć.

Załogant dołka podniósł słuchawkę. Przyłożył ją do ucha, mruknął kilka razy, potwierdzając rozkaz. Z każdym skinieniem głowy robił się coraz bledszy. Gdy odłożył słuchawkę, Gabrielowy rezon sięgnął zenitu.

– Może chociaż zostawisz mi klucze? Nie chcę umrzeć tu z głodu, po tym jak Wilbur przemienił cię na papkę. Serio, obiecuję być grzecznym chłopcem.

Klawisz zignorował jego docinki. Wyciągnął z szafy wiązkę karabinów z demobilu i wypadł na ulicę. Zza ściany więźniowie usłyszeli kolejnego odpalanego rzęcha. Przez kilka kolejnych godzin nasłuchiwały jego powrotu, sprawdzając, czy mają cokolwiek, co mogłoby pomóc z otwarciem zamka.

Najpierw usłyszeli krzyki. Ktoś biegł przez Agloe, ostrzegając mieszkańców przed koszmarem ze wsi. W celi nie było żadnego okienka, więc mogły jedynie

nasłuchiwać dalej. Słyszeć trzask wyrywanych słupów i mielonego asfaltu. Monstrum przyszło, niosąc śmierć i zniszczenie. Spodziewały się huku czołgowych dział, a usłyszały jedynie kilka żałosnych serii z pistoletów maszynowych. Każdy krok Wilbura podrzucał trzeszczące prycze, nawet mimo Gabriela i panczury próbujących utrzymać je w miejscu.

– To trochę zabawne – powiedział Gabriel. – Wilbur może i krwawi, ale diabeł, który go ulepił, nie rozumie, po co ludzie krwawią. Wszyscy utoniemy w tej czarnej ropie nienawiści.

Potwór nie wydawał żadnego dźwięku, jedynie słyszały coraz głośniejszy dźwięk uderzeń stóp i kolejnych niszczonych rzeczy. Cała reszta to urywane krzyki ofiar. Dziewczyna z celi zaczęła płakać, zasłaniając uszy. Byle tylko nie słyszeć tych krzyków. Płonnie.

Gabriel chciał poczuć jakieś... cokolwiek, jakiegokolwiek uczucie poza pierwotnym strachem wywołanym przez niemal nierealną bestię, od której oddzielał go gruby mur. Nie czuł żalu ani smutku, jakby te emocje wypaliły się w nim już dwa lata temu. Potwór po prostu był tam, robił te wszystkie potworne rzeczy. Pożerał rodziny; samotnych, przez rodziny odrzuconych; młodociane załączki rodzin. A Gabriel, podgryziony za młodu, odnalazł w sobie całkiem nowe uczucie. Uczucie kсандрыcznej satysfakcji z trafnie przewidzianej katastrofy. W końcu krzyki ucichły. Wstrząsy, jak się fortunnie okazało, wyłamały kratę w celi, więc mógł wrócić do życia. Opuścić ten wrak pełen dziurawych ulic, potrzaskanych słupów i plam krwi wszelkich kształtów i kolorów. Odciąć się od tego zgniłego korzenia.

Zostawić za sobą świat odosobnienia, monstrów i szkieletów w szafie. Zostawić Agloe.

Krzysztof Rewiuk

Transformacja Jessiego Lorentza

Pierwsza gwiazdka spadła z nieba jak pikująca rakieta.

– Pomyślałeś sobie życzenie?

Kiwnął głową. Oboje spojrzeli na wiszące na ścianie zdjęcie. Na obrazku młody mężczyzna w stroju astronauty obejmował chłopca z rozczochranymi włosami.

– Mamo, kiedy tata wreszcie stamtąd wróci, to będę już za stary, żeby się z nim bawić?

Pogładziła go po bujnej czuprynie.

– Nie wiem, kochanie. Myślę, że leci tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Ale mówiłaś, że dla niego czas biegnie jakoś inaczej...

Zerknęła znów na fotografię i na swoje dłonie.

– Tęskni z pewnością tak samo.

Przerwał im sygnał komunikatora. Skinęła przyzwyczajając ręką. Rozmyta postać zmaterializowała się obok hologramu choinki. Nawet biorąc pod uwagę jakość połączenia, trzeba było przyznać, że pułkownik Raphael Santos z obsługi naziemnej portu Canaveral wyglądał bardziej niewyraźnie niż w poprzednich latach.

- Mary...
- Wesołych Świąt, Rapha! – Wytarła skórę na policzku. – Miło, że wciąż o nas pamiętacie.
- Mary, on właśnie wylądował.
- Jak to?
- Jakiś cud, aparatura wskazuje, że chwilami przekraczał prędkość...
- Chcę go zobaczyć! – Podeszła do świetlistej sylwetki.
- Teraz to niemożliwe. Jessie musi najpierw przejść badania. Wiesz, dylatacja czasu przekroczyła spodziewane wartości, a nawet wystąpił jakby paradoks...
- Rapha, jest Wigilia, czeka na niego wolne krzesło! Pułkownik rozejrzał się nerwowo.
- Myślę... że bardziej stosowna byłaby kołyska.

Michał „Skoliotyk” Tomczyk

Ta magiczna noc

Śnieg spadł wcześniej niż rok temu. Puch przykrył całą wioskę, wdzierając się nawet pomiędzy konary drzew pobliskiego lasu. Kominy chat wypływały kłęby ciemnego dymu, który w pośpiechu uciekał do chmur, zlewając się z białą masą.

Przygotowania trwały od wielu dni, lecz tego ranka poruszenie w wiosce jeszcze bardziej przybrało na sile. Ci, którzy mogli, wyjechali do miasta, jednak większość została, by spędzić tę noc z rodzinami.

Przywieziono drewno z lasu i rozdzielono po wszystkich domach, w razie gdyby zabrakło opału. Dzieci pomagały matkom, sprawdzano spiżarnie, przynoszono brakujące rzeczy. Ludzie pomagali sobie wzajemnie i wymieniali się, kiedy czegoś brakowało. Jeśli w jakimś domu wypaliły się świece, pozostali mieszkańcy dzielili się swoimi. Wszyscy wiedzieli, jak będą ważne tej nocy.

Około południa z miasta przyjechała konna delegacja, ciągnąca za sobą niewielki powóz.

Kapłan jako zwierzchnik wioski wyszedł z chaty i przywitał gości. Jeden z rycerzy wręczył mu pismo,

z którego dowiedział się, że zarządca pobliskiego miasta przesyła szczerze życzenia i poprzez coroczny datek pragnie wyrazić wsparcie dla poddanych.

Gdy trzech przywołani przez kapłana chłopci odciągali z wysiłkiem skrzynię, jeden z rycerzy zapatrzył się na wioskę. W jego oczach tliła się nadzieja.

Kiedy niebo przybrało ciemnogniatową barwę, każda rodzina zebrała swoje zwierzęta i pozwoliła im wejść na noc do izby. Tego dnia było to oczywiste dla wszystkich. Zwierzyniec nie należał do szczególnie licznych, gdyż wioska utrzymywała się głównie z uprawy ziemi i niewielkiego stadka krów. Głównym źródłem zarobków większości mieszkańców było miasto pośredniczące w handlu z „dalszą częścią świata”.

Nadszedł zmierzch, szare niebo przybrało barwę właściwą zimowej nocy. Ludzie zgromadzili się w domach. W każdym oknie paliły się świece. Niektórzy wpatrywali się w mrok ponad chatami. Reszta, schowana po kątach, odmawiała modlitwy.

Jeźdźcy Apokalipsy mogli przybyć w każdej chwili.

* * *

Minęło kilka godzin. Spomiędzy chmur na niebie przebijało się słabe światło księżyca. W największej z chat, należącej do sołtysa, zgromadziły się cztery osoby. Ksiądz siedział przy stole, otoczony blaskiem świec i zapisywał kolejne słowa na papierze.

– Spóźniają się – rzucił siedzący przy oknie Krach. Był jedyną rodziną sołtysa, jaka mu pozostała, jednak nikt nie wróżył starem uobjęcia następstwa po bracie. Mężczyzna uchodził we wsi za odludka i dziwaka. – Nieładnie tak ludzi oszukiwać.

– Nie bluźnij – skarcił go ksiądz, unosząc głowę znad stołu. – Czuć od ciebie diabła.

– Diabeł by aż tak nie śmierdział – mruknęła żona Kracha. Siedziała na wąskiej ławce pod ścianą i wydłubywała coś spod paznokci. Ona też nie była zbyt szanowana, jednak nikt nie ośmieliłby się powiedzieć jej tego w twarz.

– Chociaż jeden rok mógłbyś dać se spokój – wymamrotał sołtys, pociągając kolejny łyk z butelki.

– Mogę powiedzieć to samo... – mruknął Krach, spoglądając na zamroczonego alkoholem brata. Każdy radził sobie ze strachem na swój własny sposób. Sołtys pił, a ksiądz węszył za diabłem. Zdziwaczały Krach był jedyną osobą, która nie unikała znanego wszystkim tematu, powracającego każdej zimy.

Ponoć Jeźdźcy nie zawsze nawiedzali ludzi. Kiedyś ich nie było. *To jedynie dowód na nasze zgorzenie. Zapomnieliśmy o Bogu i dekalogu! Stwórca przysyła ich więc jako pokutę i akt uświadomienia!* – gromił kiedyś kapłan podczas nabożeństwa.

Nikt jednak nie miał pewności, czemu bogobojni ludzie byli nawiedzani co roku przez piekielne zmory. Mimo to większości takie wytłumaczenie wystarczyło. Pierwotny strach wskazywał ślepemu światu drogę.

Tylko stary Krach się nie bał. A przynajmniej nie tak, jak pozostali. Mimo iż wiedział, że jest postrzegany jako wyrzutek i nie krył się ze swoim zdaniem, nigdy do końca nie wyjawiał ludziom, co czuje. Nie potrafił zrozumieć, czemu jego ciało drży na samą myśl o przybyciu diabłów – jak zwał ich ksiądz. Za każdym razem, kiedy się zbliżali, doświadczał niezwykle dotkliwego uczucia. Kojącego, a zarazem paraliżującego.

Krach wychował się w mieście. Jednak gdy jego brat otrzymał funkcję zarządcy w pobliskiej wsi, poszedł za nim. Byli wtedy nierozłączni. Niedługo potem zaczął odczuwać tę więź.

Wraz z upływem czasu mężczyzna zrozumiał, że nigdy nie będzie jak jego brat. Mimo to kilka lat po przeprowadzce do wioski ożenił się dość szczęśliwie i postanowił pozostać w tym miejscu. Pech jednak chciał, że ostatniej wiosny wraz z żoną stracili swój dom. Jedna ze ścian chaty zawałiła się, a reszta runęła niedługo potem. Wtedy brat sołtys przygarnął ich dobrodusznie ku uciesze tłumu. Ludzie gadali, że może teraz stary dziwak oprzytomnieje i stanie się bardziej posłuszny swojemu szanowanemu bratu. Jeden z nich jednak stoczył się do rangi posłusznego psa kapłana, a drugi pozostał Krachem.

* * *

Dochodziła północ. Oparty twarzą o blat stołu sołtys zległ naprzeciw kapłana. Żona Kracha wpatrywała się w wpół przymkniętymi oczami w rozkołysane płomienie świec, ale wciąż pozostawała czujna. Ksiądz dalej skrobał coś starym piórem, a jego drżąca noga oraz krótkie spojżenia rzucane w stronę okien zdradzały coraz większe napięcie.

Wtedy pojawił się pierwszy z nich. Zimne i ciemne chmury rozstępowały się, jakby przerażone wizją dotyku sunącego po niebie demona. Rozchmurzyło się, a księżyc ukazał nadszarpnięty koszmarem.

Zawsze było ich czterech. Wielkie, srebrne dyski unosiły się na niebie i powoli sunęły nad wioskę.

– O Boże... – wyszeptała żona Kracha, czując, jak ziemia drży jej pod nogami.

Ksiądz wstał, wykonał znak krzyża i zaczął się modlić w ciszy, poruszając jedynie ustami. Krach nie drgnął, nawet kiedy czuł, jak znajomy dreszcz przebiega mu przez powyginany kręgosłup. Miał wrażenie, jakby się gdzieś przeniósł.

Nikt z żyjących nie widział dokładnie zbliżających się dysków. Ponoć kiedyś jeden głupiec postanowił przegnać diabły na własną rękę, a gdy nadleciały, wyszedł z chaty. Jak dotąd był jedyną znaną osobą, która spojrzała bezpośrednio na przybyszów i zapłaciła za to bluźnierstwo. Ludzie zrozumieli, jak wielkie niebezpieczeństwo na nich spadło. Sam śmiałek postradał resztki zmysłów niedługo potem, a jego usta wymawiały tylko: *Diabły, diabły, diabły...*

W chacie zaległa cisza. Drgania ustały, nie słychać było przerażającego buczenia, zwiastującego nadejście Jeźdźców Apokalipsy. Ksiądz przerwał modły i ogarnął wzrokiem wszystkie świece pozapalane w oknach izby. Stanowiły narzędzie obrony człowieka przed potworem. Światłość was ochroni, drogie dzieci! Nie bójcie się światłości!

Przez kilkanaście minut nic się nie wydarzyło. Nikt nie wypowiedział ani słowa, a świat wydawał się zastygły w czasie. Jedynie Krach czuł, jak przez umysł przelewają się obrazy i myśli nienależące tylko do niego. Częstka świadomości odpływała gdzieś w dal, a ciało stawało się coraz uboższe w duszę.

Nagle drżenie powróciło, ale o wiele słabsze. Jedno z okien chaty sołtysa wychodziło na pobliską polanę, za którą rozpościerał się las. To nad nim unosił się kolosalny diabeł. Srebrny gigant, błyszcząc w świetle księżycy, zamarał nad skrajem łąki. Krach oprzytomniał nieco i z szeroko otwartymi oczami obserwował rozgrywającą się scenę.

Z lasu wybiegło w popłochu stado jeleni. Długimi susami skakały w panice przez polanę, w nadziei na schronienie po drugiej stronie. Wtedy ze środka unoszącego się potwora wypłynął snop białego światła, paraliżując przerażone zwierzę, które zastygło w bezruchu, po czym zaczęło powoli unosić się ku gigantowi. Bestia pochłonęła dorosłą łanię w ciągu jednej chwili, po czym buczenie i drgania powróciły.

Krach ponownie czuł, jak jego myśli gdzieś odlatują. Tak było każdego roku, gdy ONI powracali...

Ludzie widzieli, jak starzec staje się coraz bardziej nieobecny każdej wiosny i byli przekonani, że zwyczajnie dziwaczeje. On wiedział, że się mylą. Za każdym razem tej straszliwej nocy czuł, że coś zostaje mu odbierane. Jednak przez te kilka cudownych chwil, kiedy oni unosili się tuż nad nim, mógł ponownie połączyć się ze swoim umysłem, który nie był już obecny na tej ziemi. I wiedział, że tej nieobecnej na co dzień części jest znacznie lepiej tam niż jemu tu, na dole. Ale kiedyś mu się uda... i w pełni złączy się z tą częścią siebie, która jest już szczęśliwa, choć tak nieobecna.

Dyski uniosły się w górę, by sunąć dalej, aż zniknęły za pobliskimi górami. Sołtys ocknął się i spojrzał z wyrzutem na zaciśniętą w dłoni pustą butelkę. Próbował przekląć, ale przypomniawszy sobie o obecności księdza, wstrzymał się. Kiedy zobaczył minę duchownego, zrozumiał, że ponownie udało mu się uniknąć tej koszmarnej nocy. Powstrzymując beknięcie, wyduślił z siebie tylko:

– I jak było?

Monika Nowak

Wspomnienie szczęśliwych dni

Sypał śnieg, grzebiąc pod białym puchem ruiny miasta. Delikatne płatki niesione przez wiatr spadały na pozostałości po Rynku Głównym i zgliszcza Kościoła Mariackiego. Wraki samochodów i tramwajów, resztki starych pomników oraz inne szczątki ludzkiej cywilizacji znikwały pod grubą warstwą śnieżnej pokrywy.

Eliza, grzejąc ręce przy dogasającym ognisku, zdrżała z zimna. Suche drewno już dawno się skończyło. Pozostało tylko wilgotne, które zebrała niedawno. Ukrywała się w ruinach starej kamiennicy od trzech dni. Bała się ruszyć z miejsca w obawie, że elfy i ich sojusznicy ją dopadną. Dorwali już wielu ludzi, którzy przetrwali kataklizm zesłany przez wroga z innego świata. Bez ustanku polowali na niedobitków. Dziewczyna nawet nie wiedziała, czy jacyś ludzie jeszcze żyli. Od miesiąca nie widziała na oczy jakiegokolwiek przyjaznej twarzy. Powoli zaczynała sądzić, że została ostatnim żywym człowiekiem na Ziemi. Te myśli napawały ją paralizującym strachem.

Dorzuciła kolejne polano do ogniska, starając się rozpalić większy płomień. Wilgotne drewno nie chciało się zająć, a gdy zawiął silny wiatr, płomienie przygasły zupełnie.

– Kurwa! – Eliza owinęła się mocniej kocem i zadrżała z zimna. – Dlaczego nie chcesz się palić?!

Przez chwilę dłubała kijem w popiele i żarzących się szczapach, po czym pochyliła głowę i zaczęła dmuchać. Wszystkie starania spełzły na niczym. Ognisko nie chciało się na nowo rozjarzyć. Zrezygnowana spojrziała na dziurę w suficie, przez którą wpadały zimny wiatr i płatki śniegu. Wiedziała, że nie mogła dłużej pozostać w tym miejscu. Musi poszukać innego schronienia, inaczej zamarznie.

Spakowała niezbędne rzeczy i opuściła ruiny. Na zewnątrz okolica była zasypana białym puchem. Brodziła w śniegu po kolana, stawiając ociężałe kroki. Przemykała blisko zrujnowanych budynków, starających się pozostać jak najmniej widoczna. Nie było bezpiecznie ani w nocy, ani w dzień. Elfy wszystko widziały. Nawet niewinnie wyglądający gołąb mógł okazać się ich szpiegiem, gotowym bezzwłocznie powiadomić swoich panów o jej obecności.

I choć czas naglił, Eliza nie potrafiła zignorować pięknego zimowego krajobrazu. Przypominał jej, że była druga połowa grudnia i zbliżały się Święta. Dziewczyna wróciła myślami do szczęśliwych wspomnień związanych z Bożym Narodzeniem. Z czasów, zanim wszystko, co do tej pory znała i kochała, obróciło się wniwecz z winy magicznych istot, które wdarły się do jej świata. Pamiętała stół wigilijny zastawiony pysznymi potrawami. Ciepło rodzinnej atmosfery, gdy dzieliła się opłatkiem z rodzicami, dziadkami i młodszą siostrą. Smak

panierowanego karpia, curry z tuńczyka z ryżem i chałką, którą tak kochała moczyć w sosie. Tęskniła także za ogrzewającym, aromatycznym barszczem czerwonym z uszkami i fasolą. Eliza mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie dużej choinki przystrojonej we wspa- niałe bombki, łańcuchy i kolorowe lampki. Jako dziecko wchodziła pod świąteczne drzewko, by wyciągnąć pre- zenty, a potem rozdać je pozostałym domownikom.

– To były naprawdę szczęśliwe czasy – westchnęła z uśmiechem, a w jej oczach zalśniły łzy.

Miłe ciepło rozlało się po sercu na samo wspomnie- nie przeszłości. Eliza ruszyła w drogę zwawszym kro- kiem, ciaśniej owijając się płaszczem. Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Śnieżycą utrudniała jej zobaczenie czegoś więcej niż czubek nosa. Parła jednak dalej i gdziekol- wiek teraz szła, miała nadzieję, że za chwilę znajdzie bezpieczne schronienie na noc.

Nagle ujrzała przed sobą czyjąś sylwetkę. Nie potra- fiła stwierdzić, czy to był elf, krasnolud, ork, czy może – człowiek. Odruchowo sięgnęła do kieszeni i wydobyla z niej nóż. Bez względu na to, z kim miała do czynienia, nie zamierzała tak łatwo sprzedać skóry.

– Hej, spokojnie! – krzyknął nieznajomy, podnosząc do góry ręce. – Nie jestem wrogiem! Szukam ocalałych!

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wyglądało na to, że los nareszcie się do niej uśmiechnął. Miała przed sobą wysokiego mężczyznę ubranego w dziurawy płaszcz. Po siateczce zmarszczek znaczącej sympatycz- nie wyglądającą twarz dziewczyna odgadła, że niezna- jomy był znacznie od niej starszy.

To chyba jeden ze świątecznych cudów – pomyślała radośnie. Człowiek! Żywy człowiek! A jednak ktoś jeszcze ocalał!

Zrobiła krok w kierunku nieznanego, chowając broń z powrotem do kieszeni.

– Sądziłam, że nikt nie przeżył apokalipsy prócz mnie – powiedziała. – Szukałam innych ludzi, ale niktogo nie znalazłam, aż pan na mnie nie trafił.

– Ach, jaki tam „pan”! – Mężczyzna machnął ręką. – Jestem Darek. Przewodzę grupie ocalałych w ruinach Krakowa.

– Miło mi cię poznać. Jestem Eliza.

Zrobiło się jej przyjemnie na sercu. Czuła wielką ulgę, widząc pierwszy raz od tak dawna przyjazną twarz. Spróbowała się uśmiechnąć, ale tylko zaszczękała zębami z zimna. Prawie nie czuła już palców u stóp, dziurawe buty kompletnie nie chroniły przed chłodem i wilgocią śniegowej masy.

– Cieszę się, że cię znalazłem. Ludzie powinni się trzymać razem. Świat stał się bardzo niebezpieczny. Magiczni skurwiele polują na nas jak na zwierzynę. Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do naszej kryjówki.

– W porządku. Z radością przyjmę twoją pomoc.

* * *

Darek zaprowadził Elizę na drugi koniec zrujnowanego miasta. Oczom dziewczyny ukazał się ogromny dom z ogrodem, zamknięty w szczelnym pierścieniu wyremontowanego przez mieszkańców ogrodzenia. Na bramce zawieszono ozdobione runami talizmany ochronne. Sam budynek był w całkiem dobrym stanie. Zamieszkujący go ludzie dołożyli wszelkich starań, żeby w dachu nie było żadnych dziur. Wydawał się doskonale zabezpieczony przed chłodem zimy. Eliza mogła tu przezimować, a przy okazji pomóc

mieszkańcom. Musiała się jakoś odwdziżyć Darekowi za okazaną dobroć.

– Piękny – stwierdziła. – Wyróżnia się na tle ruin w Krakowie.

– Ale na zewnątrz wygląda jak inne – odpowiedział Darek i uśmiechnął się ciepło. – Cieszę się, że ci się podoba. Chodź. Przywitasz się z innymi, a potem znajdziemy dla ciebie ciepły kąt.

Darek otworzył bramkę i przepuścił Elizę przodem, zanim sam przekroczył próg. Przeszli przez wąską ścieżkę, aż znaleźli się na stopniach prowadzących do drzwi frontowych. Mężczyzna energicznie zastukał.

– Kochanie, już jestem. Możesz otworzyć – powiedział miękko.

Drzwi otworzyły się. Na progu stała niewysoka kobieta w średnim wieku. Miała sympatyczną, choć pomarszczoną twarz i mądre brązowe oczy. Czarne włosy z pasemkami siwizny związała w ciasny kok. Na widok towarzysza Elizy uśmiechnęła się z radosną ulgą.

– Wiedziałam, że wrócisz cały i zdrowy – powiedziała, ujmując twarz mężczyzny w dłonie. Ucałowała go mocno w czoło. – Wchodźcie szybko do środka i ogrzejcie się. Musicie być znużeni wędrówką.

– Marto, to jest Eliza – powiedział Darek, wskazując na wyczerpaną dziewczynę. – Znalazłem ją w ruinach Starego Miasta. Błąkała się całkiem sama. Nikogo innego nie odnalazłem.

Eliza ukloniła się.

– Bardzo mi miło i cieszę się, że będę mogła u was gościć – powiedziała.

– Wchodź do środka, moje dziecko – ponagliła ją Marta. – Jesteś przemarznięta. Musisz się ogrzać. Zaparzę ci coś ciepłego.

Kobieta chwyciła dziewczynę delikatnie za ramię i zaprowadziła do wnętrza domu.

* * *

Eliza siedziała na dziurawej kanapie, sącząc herbatę z kubka i obserwując, jak dzieci z pomocą dorosłych przystrajały choinkę w bombki i łańcuszki. Brakowało tylko lampek, które i tak by nie zaświeciły. Prądu nie było od ponad roku, magia blokowała działanie urządzeń elektronicznych. Dziewczyna cieszyła się, że Darek i jego żona dokładali wszelkich starań, by zapewnić mieszkańcom domu jakąś namiastkę normalności.

Kryjówkę zamieszkiwało dwudziestu dorosłych ludzi, w tym troje w podeszłym wieku, którym pomagali pozostali domownicy i ośmioro dzieci. Wszyscy wyglądali na mocno zżytych ze sobą. Eliza odniosła wrażenie, że nie pasuje do tego miejsca, lecz trwało to tylko krótką chwilę. Mała dziewczynka uśmiechnęła się i rzuciła piłęczkę w kierunku nowej mieszkanki. Przybyszka złapała ją zreżymnie i poturlała po ziemi w kierunku właścicielki.

– Słyszałam, że przetrwałaś w ruinach cały miesiąc – powiedziała dziewczynka słodziutkim głosem. – Bałaś się? Tęskniłaś za mamą i tatą?

– Moja rodzina zginęła. Tęskniłam za kontaktem z innymi ludźmi – przyznała Eliza. – Ale teraz jestem już bezpieczna razem z wami. Jak ci na imię?

– Ewelinka.

Eliza uśmiechnęła się. Dziewczynka była tak urocza, że Elizie zrobiło się ciepło na sercu. Zanim nastąpiła magiczna apokalipsa, myślała, że nie lubi dzieci. Była w wielkim błędzie! Niemal od razu poczuła nić sympatii do tej małej.

– Śliczne imię. Ja jestem Eliza i cieszę się, że jestem tu z wami, Ewelinko.

– Jesteś bardzo miła.

– Ewelinko! Pomóż mi nakryć do kolacji! – Do salonu weszła Marta. – Eliza jest zmęczona i powinna odpoczywać.

Mała wyraźnie posmutniała.

– Już idę, babciu.

– Jeśli się zgodzisz, bardzo chętnie pomogę przygotować stół do posiłku – zaproponowała nieśmiało Eliza.

– Dziękuję, moje dziecko. Twoja pomoc na pewno się nam przyda.

* * *

Kiedy wszystko przygotowano, Eliza wraz z Darcielem, Martą i innymi mieszkańcami domu zasiadła do skromnej kolacji wigilijnej. Na półmisku piętrzyły się kawałki pieczonej ryby oraz indycze nóżki. Była też odrobina chleba oraz garnek czerwonego barszczu. Dziewczyna pierwszy raz od dawna mogła posmakować dobrze przyrządzonego jedzenia. Do tej pory żywiła się tym, co udało jej się złapać. Czasami podkraδαła się do obozowisk elfów i pozostałych wrogich istot, ale ich jedzenie smakowało obrzydliwe.

– Dawno nie jadłam niczego tak pysznego – przyznała, odstawiając pusty talerz. – Naprawdę smacznie gotujesz, Marto.

– Dziękuję, dziecko. To bardzo miłe – odpowiedziała rozpromieniona kobieta. – Staram się gotować tak dobrze, by mieszkającym tu ludziom przypomnieć rodzinny dom.

– I wychodzi ci to naprawdę wspaniale, kochanie! – Darek ucałował żonę w czoło. – Uwielbiam twoją kuchnię.

Marta roześmiała się dźwięcznie i położyła głowę na torsie męża.

– Ach, podlizujesz się.

Resztę wieczoru spędzili na rozmowach, jedzeniu deserów oraz śpiewaniu kolęd. Miła i przyjazna atmosfera przypomniała ludziom to, co niedawno utracili. Wszyscy byli radośni, a przede wszystkim chcieli, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Za oknem nadal padał śnieg. W pewnym momencie przy furtce coś się poruszyło. Wyglądająca przez okno Eliza zmarszczyła brwi, przypatrując się uważnie stworzeniu, które znalazło się tak blisko domu. Darek i Marta wstali od stołu, bacznie obserwując okno. Podeszli do stojącego w kącie jadalnej stojaka na broń i wzięli miecze.

– Nie ruszajcie się stąd – rozkazał Darek. – Sprawdzimy, co kręci się pod ogrodzeniem i zaraz wrócimy.

Eliza również wstała.

– Pójdę z wami – oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Przetrwałam miesiąc na zewnątrz. Przyda wam się moja pomoc i doświadczenie.

– Dobrze – zgodził się Darek. – Trzymaj! – Podał jej miecz.

Dziewczyna ścisnęła mocno broń i ruszyła do wyjścia razem z Martą i jej mężem.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, poczuła na twarzy chłód zimowej nocy. Przy furtce stał renifer. Grzebał kopytami w śniegu w poszukiwaniu resztek trawy. Rogi miał masywne, a w ciemnych oczach dało się zauważyć błysk inteligencji.

– Dziadku! Babciu! Zobaczcie! To renifer! – pisnęła Ewelinka, stając na progu domu.

– Miałaś się nie wychylać! – Darek skarcił wnuczkę. – Wracaj do środka.

Dziewczynka podeszła bliżej do stojących przy furtce dorosłych,

– Ale ja chcę zobaczyć...

Darek i Marta odwrócili się w kierunku dziecka.

– Wracaj do domu! To niebezpieczne.

Renifer podniósł głowę. Chwytał zębami ozdabiającą furtkę talizmany ochronne i zerwał je. Następnie uderzył rogami w bramkę i wszedł do środka. Eliza ujrzała w oczach zwierzęcia złośliwe ogniki. Zanim pojęła, co się dzieje, z ziemi wyłoniły się kolczaste pnącza, które oplotły jej talię. Dziewczyna krzyknęła z bólu, próbując się bezskutecznie oswobodzić. Spojrzała w kierunku Darka i jego rodziny.

– Biegnijcie do domu! – wrzasnęła. – Zabarykadujcie się i chrońcie dzieci!

– A co z tobą? – Darek zasłonił wnuczkę własnym ciałem.

– Jakoś sobie poradzę. Nie stójcie jak głupcy! Róbcie, co wam mówię!

Darek chwycił dziecko na ręce i razem z żoną pobiegli do domu. Trzasnęły za nimi drzwi. Eliza została sama z istotą, którą lekkomyślnie wzięto za zwyczajnego renifera. Stworzenie zbliżyło się do dziewczyny, przyglądając jej się. Renifer nagle rozpląnął się w powietrzu, na jego miejscu stał elf ubrany w szaty druida. W seledynowych włosach zaplątały się suche liście bluszczu. Dziewczyna szybko zrozumiała, że ma do czynienia z elfim druidem. Tylko oni z dziecinną łatwością zmieniali formę na zwierzęcą, by zwodzić nie-

ostrożnych. W dodatku niektórzy z nich byli odporni na talizmany i czary ochronne.

– Obserwowaliśmy ten dom od wielu dni – powiedział cicho elf. – Czuliśmy, że tu jesteście, człowieczki. Nadszedł wasz koniec.

Eliza zmierzyła go nienawistnym spojrzeniem.

– Dlaczego to robicie, do jasnej cholery? Przecież niczym wam się nigdy nie naraziliśmy! To wy bezprawnie wtargnęliście do naszego świata.

– Ależ zrobiliście wiele złego.

– Niby któremu z was, kurwa?! To wy zaczęliście wojnę. Wasza magia unicestwiła zdobycze nowoczesnej techniki, wyrznęliście większość ludzi, a na resztkę, jaka pozostała, polujecie jak na zwierzynę!

– My tylko chronimy istniejącą we wszechświecie naturę, którą wy, ludzkie ścierwo, niszczyacie. To błędne koło powtarzało się w każdym odwiedzionym przez nas świecie. Dobry człowiek to martwy człowiek!

Na słowa elfa Eliza szarpnęła się wściekle. Kolczaste korzenie wbijały się w skórę, boleśnie ją rozrywając.

– Nie macie prawa decydować o tym, które stworzenia mają umrzeć, a które żyć.

– Ależ mamy, naiwne maleństwo – odpowiedział miękko elf, a kolczaste pnącze owinęło się wokół gardła dziewczyny.

Ujrzała wtedy inne elfy, orków i krasnoludy, wychodzące z mroku nocy. Uzbrojone w miecze i łuki zmierzały w kierunku niechronionego już talizmanami domu. Dziewczyna wiedziała, że drzwi długo nie wytrzymają naporu magicznych istot. Oczami wyobraźni widziała przerażenie malujące się na twarzach ludzi, którzy przyjęli ją pod swój dach.

– Podobno dziś przypada jakieś ważne święto – rzekł ponownie elf i uśmiechnął się okrutnie. – Ach, sentymentalni głupcy, ale niech będzie. Dam ci najpiękniejszy prezent. Szybką śmierć. Wesołych Świąt!

Kolczaste pnącze ścisnęło mocniej kark Elizy, która nie była już w stanie dobyć głosu. Trzasnęło. Zapadła ciemność.

Agnieszka Bar

Siódme święta Karolinki

Karolinka przeglądała się w lustrze. Mama stała z tyłu i czesała włosy, usiłując upiąć niesforne loki. Dziewczynka liczyła sobie zaledwie sześć lat, ale mimo młodego wieku dobrze rozumiała, że dziś nie jest dobra pora na narzekanie i fochy. W kuchni co chwilę coś się przypalało, Maciek dostał po łapach za podjadanie kutii, a tata lawirował między szczątkami bombek choinkowych, które pies Funio regularnie strącał ogonem. Za parę minut mieli przyjść dziadkowie i wujostwo, a włosy wołały o pomstę do nieba, tak przynajmniej powtarzała mama głośno przed lustrem. Karolinka po raz ostatni przyjrzała się sobie z zadowoleniem, bo była dziś ubrana w piękną sukienkę w czerwoną kratę, zieloną kokardę wpiętą miała w warkoczyk.

Pobiegła do salonu, gdzie znajdowało się świąteczne centrum dowodzenia, z potężną choinką i wielkim stołem. Dziewczynka usiadła w rogu na kanapie i z uwagą przyglądała się świątecznemu rozgardiaszowi. Na pierwszy plan wysunęło się oczywiście kolorowe bożonarodzeniowe drzewko, które w dziecięcym umyśle

zajmowało szczególnie dużo miejsca. Oczy Karolinki zarejestrowały również sianko i opłatek, przesunęły się łakomie po koszu z cukierkami (były przeznaczone na deser i biada tym, którzy wcześniej zostali przyłapani gdzieś w pobliżu), ale dłużej zatrzymały się na krześle, które zachowano dla kogoś potrzebującego, gdyby pojawił się w czasie kolacji. To krzesło stanowiło nieodłączny element Wigilii, razem ze śpiewaniem kolęd i paleniem zimnych ogni. Pani w przedszkolu opowiadała im o świątecznych tradycjach. Dziewczynka pamiętała też dobrze legendę o mówiących zwierzętach. Pies Funio jak dotąd niestety do nikogo się nie odezwał, chociaż Karolinka raz po raz próbowała go do tego namówić.

Zadzwoił dzwonek i cała rodzina zbiegła się w przedpokoju, żeby otworzyć gościom. Dziadkowie, pachnący mrozem i objuczeni ciężkimi siatami głośno witali się z rodzicami, a pies obszczekiwał towarzystwo i wesoło stukał o ścianę ogonem. Karolinka z ociąganiem podeszła bliżej, ale w ogólnym rozgardiaszu nie zdołała precyzyjnie się do dziadków.

Usiadła po cichu w salonie i łakomie wpatrywała się w torby, w których musiały znajdować się prezenty. Tato podszedł do radia i włożył swoją ulubioną płytę z kolędami. Zabrzmiała *Cicha Noc*, a w powietrzu unosił się zapach pierników prosto z piekarnika, zmieszany z wonią choinki i perfum cioci Ani, stukającej obcasami i roznoszącej sztućce. Bardzo się to wszystko Karolinie podobało, ten wigilijny rozgardiasz, znajome zapachy i ulubione kolędy. Humor miała dziś wyjątkowo dobry, tym bardziej więc nie rozumiała, czemu rodzice są w takim złym nastroju.

– Siądźmy do stołu – powiedziała mama. Widać było, że znowu płakała. Dziewczynka cały dzień pró-

bowiała zgadnąć, dlaczego, ale mama nic jej nie mówiła, tylko gotowała i sprzątała, bardzo intensywnie.

– A ty, kochanie, przeczytaj nam fragment Biblii przed kolacją. – Tu zwróciła się do brata Karolinki.

– Nie chcę – powiedział Maciek z zaciętą miną.

– Bez dyskusji. Ktoś musi. – Mama westchnęła ciężko. Tato objął ją mocno i ucałował, a ciocia z wujkiem spojrzeli po sobie i oznajmili, że muszą jeszcze szybkiego papieroska przed kolacją. Po dłuższej chwili wszyscy stanęli wokół stołu, a Maciek zaczął czytać ten sam fragment, z którym Karolinka po raz pierwszy zmierzyła się w zeszłym roku. Ależ była wtedy z siebie dumna! Trochę mieszały się jej jeszcze niektóre litery, dlatego ćwiczyli czytanie z dziadziusem przez całe tamto wigilijne popołudnie. *W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie...*¹. Dziewczynka zaśmiała się, gdy jej brat doszedł do fragmentu o „wielkorządcy Syrii, Kwiryniuszu”, bo to było bardzo śmieszne imię. Cała rodzina stała dookoła stołu i wpatrywała się w swoje złączone dłonie. Gdy Maciek skończył czytać, Karolinka uciekła do kuchni przed rozdawaniem opłatków. Jak co roku zresztą, to znaczy od kiedy zaczęła rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Uch, życzenia! Wszyscy ją całowali i przytulali, a co gorsza – oczekiwali, że ona też będzie ich obcałowywać! Fe! Posiedziała chwilę schowana, czekając, aż ktoś z rodziny ją zawoła, jednak w tym roku widocznie postanowili dać jej spokój. Do kuchni przyszedł za to Funio, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Podrapała go trochę za uchem i przytuliła się do wielkiego, puchatego ciała.

¹ Cytat pochodzi z *Biblii Tysiąclecia*.

– Funio, chyba czas iść na kolację.

Pies w odpowiedzi pomierdał ogonem i poszedł z dziewczynką do salonu, gdzie rodzina kończyła właśnie składać sobie życzenia. Mama była zapłakana, a tata obejmował ją mocno. Reszta rodziny stłoczyła się wokół nich. Wszyscy mieli nietęgę miny i głaskali rodziców po plecach.

– Kochani, przepraszam was – powiedziała mama. – To pierwsza taka Wigilia... – Pociągnęła nosem. – Dobrze, że jesteście. Bez was nie przetrwalibyśmy tego wszystkiego.

– To może zacznijmy... – powiedział tata, a broda trochę mu drżała. Wszyscy powoli zasiadali za stołem, a Karolinka rozejrzała się – oprócz tego jednego krzesła, na którym nikt w Wigilię nie siedział, każde miejsce było zajęte. Babcia sięgnęła po chochlę i zaczęła nalewać barszczu z uszkami. Karolinka wzięła się pod boki i spytała głośno:

– A gdzie miejsce dla mnie? – Nikt jej nie odpowiedział. Mama spojrzała czerwonymi oczami na dodatkowe, puste krzesło. Ojciec zauważył to i złapał ją za rękę.

– Karolinka na pewno jest z nami tej Wigilii, mamó – powiedział Maciek, a mama zaszlochała głośno. Dziewczynka popatrzyła na nich wszystkich jak na wariatów, chociaż wiedziała to, co wie każde mądre dziecko – że czasem dorośli bywają po prostu dziwni. Wzruszyła tylko ramionkami i zajęła puste miejsce przy stole.

Katarzyna Ophelia Koćma

Nieproszony gość

Aśka nienawidziła Wigilii dokładnie od siedmiu lat, czyli odkąd po raz pierwszy i niestety nie ostatni przyszło jej spędzić świąteczną wieczerzę w towarzystwie sióstr Szymona. Ich codzienne kontakty przebiegały w atmosferze umiarkowanej sympatii, chociaż Aśka musiała uczciwie przyznać, że nigdy nie uważała szwagierek za osoby szczególnie bliskie. Jednak podczas rodzinnych uroczystości szczerze ich nie cierpiała. Zawsze spóźnialska Nina niemal od progu zaczynała tyradę o skandalicznych proporcjach makroskładników, skrupulatnie wypominając każdą nadmiarową kalorię na talerzu, w czym częściowo wtórowała jej Laura, której co prawda zawartość cukru i tłuszczu w potrawach nieszczególnie interesowała, za to najchętniej zamordowałyby każdego, kto nie stosował się do ścisłych zasad weganizmu i sprawiedliwego handlu.

Ich mężowie na szczęście nie przejawiali podobnych zapędów, co nie znaczy, że zachowywali się lepiej. Przy kieliszkach wypełnionych po brzegi wódką zaczęli dyskutować o tematach, których w rodzinie poru-

sząc nie należy – religii i polityce. Łukasz, ortodoksyjny katolik, i Emil, zagorzały lewicowiec, nie mogli dojść do ładu w żadnej kwestii – począwszy od rozdziału Kościoła od państwa, na szczepionkach kończąc.

Ale nie tym razem. Choć w domu Aśki i Szymona wigilijną wieczerzę od lat planowano na siedemnastą trzydzieści i od lat z powodu nienachalnie punktualnej Niny przesuwano na godzinę osiemnastą, tego roku jeszcze przed nastaniem pierwszej gwiazdki całą szóstką układali dania na półmiskach.

Po tym, jak odhaczono kolejne punkty programu – połamano się opłatkiem, zjedzono barszcz, rybę, kutię i pierogi, odśpiewano kilka kolęd i wręczono sobie prezenty, Aśka gotowa była przyznać, że świąteczne cuda zdarzają się nie tylko w filmach. Laura po raz pierwszy nie zasłoniła ostentacyjnie nosa na zapach smażonego karpia, Nina zjadła na deser wielki kawał makowca, Emil przebąknął, że planuje wybrać się do spowiedzi, a Łukasz z pewnym ociąganiem przyznał, że od kilku dni karmi koty sąsiada geja, który trafił do szpitala.

Słowem – cud. Cud nocy wigilijnej.

I gdyby kolacja skończyła się jak zwykle przed dwudziestą, a każdy rozjechał w swoją stronę, Wigilia Roku Pańskiego 2020 dla Aśki, Szymona, Niny, Łukasza, Laury i Emila przeszłaby do historii jako wydarzenie nad wyraz serdeczne, miłe i spokojne. Tak jednak się nie stało, gdyż w trakcie intonowania *Cichej nocy* po raz trzeci – ktoś zadzwonił do drzwi.

Mimo że tradycja nakazuje przygotować dodatkowe nakrycie dla zbłąkanego wędrowca, tego roku w niewielu domach kultywowano ten zwyczaj. Kto przy zdrowych zmysłach, bez względu na poziom mi-

łości bliźniego, przygarnąłby w czas pandemii włóczęgę, a wraz z nim kwarantannę, koronawirusa, a może i samą śmierć?

Co więcej, w Boże Narodzenie obowiązywał zakaz zgromadzeń powyżej pięciu osób. Z początku regulacja ta dotyczyć miała jedynie zaproszonych gości, jednak na tydzień przed Wigilią doprecyzowano, że między północą 24 grudnia a dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dziewięć 26 grudnia w gospodarstwie domowym nie może przebywać więcej niż pięciu biesiadujących. Dotyczyło to również domowników, w tym osób małoletnich. O tym, gdzie mieliby się podziac nadmiarowi lokatorzy, na przykład dzieci, rząd nawet się nie zająknął.

Trudno się zatem dziwić, że Aśka i Szymon wpadli w popłoch. Jako gospodarze to oni ponosili konsekwencje złamania prawa. Szymon odruchowo poderwał się z krzesła, strącając przy tym widelec i rozlewając kompot z suszu.

– Nie!!! – krzyknęła jednocześnie pozostała piątka świętujących.

– Czy tobie rozum do reszty już odjęło? – szepnął Łukasz. – Nie mamy obowiązku otwierać drzwi. To może być ktokolwiek.

– Kochanie, Łukasz ma rację – przytaknęła Aśka. – Słyszeliście nadjeżdżający radiowóz? Albo jakieś zamieszanie na ulicy? No właśnie... Ktoś robi sobie głupie żarty. Może jakiemuś dziecku się nudzi.

Żarty jednak się skończyły, gdy rozległo się przytłumione: „Kontrola covidowa, proszę otworzyć drzwi!”.

A ponieważ absurdalne sytuacje rodzą absurdalne rozwiązania, Emil, najbardziej pomysłowy z całej

szóstki, uznał, że ktoś powinien schować się w piwnicy. Po krótkim głosowaniu padło na Aśkę, zaś Szymona wypchnięto w stronę drzwi.

Za progiem stał młody, niepozornie wyglądający mężczyzna w policyjnym mundurze.

– Mogę... mogę wejść na covidrolę? – wymamrotał zmieszany.

Szymona zdziwiło, że mundurowy nawet się nie wylegitymował, lecz odruchowo wpuścił go do środka. Podobnie jak Aśka nie był szczególnie przebojowy ani okrętny, takie sytuacje wprawiały go w nie lada zakłopotanie. Nie zauważył nawet, że policjant użył neologizmu.

Nieproszony gość stanął w progu i przestępując z nogi na nogę, omiatał wzrokiem ozdobiony świątelkami korytarz, który prowadził do salonu. Dopiero po dłuższej chwili ruszył w stronę pomieszczenia, a Szymon za nim.

– Dobry wieczór państwu. Wesołych Świąt! – przywitał się uprzejmie, zatrzymując wzrok na choince przybranej w złoto-szafirowe bombki.

– A pan to, przepraszam, jakim prawem nas nachodzi? – zaczął Łukasz. Jak na porządnego narodowca przystało był rosy, łysy i bezkompromisowy. – Proszę się wylegitymować i pokazać nakaz rewizji.

Górująca nad przybyszem barczysta sylwetka szwagra Aśki sprawiła, że stróż prawa zgarbił się.

– Przed... podinspektor Piotr Zieliński. – Policjant machnął legitymacją w bliżej nieokreślonym kierunku. – Którzy są – zerknął szybko na dokument – Joanna i Szymon Nowakowscy?

Gospodarz już otwierał usta, by potwierdzić tożsamość, lecz ubiegł go Emil:

– Szymon Nowakowski – odparł stanowczym tonem. Nie wiedział, dlaczego to robi. Być może impulsem okazała się dziwna maniera w głosie przybysza.

– A pani Joanna?

Goście spojrzeli po sobie. Tego nie przewidzieli, zamykając Aśkę w piwnicy. Emil postanowił zaimprovizować. Wykorzystując talent aktorski, przez chwilę wpatrywał się szklistym wzrokiem w stronę krzesła, na którym jeszcze dziesięć minut temu siedziała szwagierka, a potem po prostu się rozplakał. Stojący obok Łukasz odruchowo poklepał go po ramieniu.

– Tam... – Emil wskazał ręką puste miejsce, gdzie spoczywał brudny talerz. Po Aśce pozostały dwa uszka pływające w zaschniętej mazi koloru buraczanego. – Boże kochany, nie mogę. Nie mogę... – wydusił teatralnie i opadł na fotel.

Policjant sterczał stropiony, nie rozumiejąc nic ze sceny, którą obserwował.

– Tam... tam.... zawsze.... siadywała... moja... moja... żona. Moja... kochana... biedna... Asieńka... – Emil otarł zwisającego z nosa gila o przewieszony przez poręcz pled.

Nina z trudem powstrzymała śmiech, widząc, jaki cyrk odstawia mąż. Łukasz mrugnął do niej, a Szymon i Laura trwali w stuporze, przygotowani dosłownie na każdy scenariusz.

– Gdzież pani Joanna? – zapytał zmieszany policjant.

– Ona... odeszła... panie władzo... do... do... – Palec Emila wystrzelił w górę, by nikt nie miał wątpliwości, gdzie może znajdować się Aśka. Wzrok mundurowego wędrował po obleczonej w ceglasty abażur lampie.

Policjant zdjął czapkę i jakiś czas sterczał bez ruchu, bezmyślnie mnąc ją w dłoniach.

– Proszę przyjąć wyrazy uznania – wymamrotał, a Nina niemal zakrztusiła się własną śliną.

– Panie władzo. – Łukasz chwycił stróża prawa pod pachę, siłą odciągając na stronę. Nieproszonego gościa ledwo stłumił syknięcie bólu, gdy dłoń dryblasza zacisnęła się na jego ramieniu. – Sam pan widzi, że szwagier nie może się pozbierać. Ogromnie szanuję troskę i zaangażowanie policji, codziennie odmawiam w waszej intencji różaniec, ale naprawdę w tym domu nie znajdzie pan nic prócz łez i żałoby pięciu przepisowych osób.

Mundurowy wydał wargi w czymś na kształt ironicznego uśmiechu, przesuwał wzrokiem po sylwetkach zastygłych przy oknie. Mąż zmarłej bynajmniej nie wyglądał na świeżo upieczonego wdowca. Spodnie błękitne, koszula barwy kanarkowej, kamizelka w morskim odcieniu. Czy tak ubiera się człowiek, który dopiero pochował żonę?

Policjant wyrwał się z uścisku Łukasza i samowolnie zajął jedno z krzeseł przy stole.

– Współczuję państwu umniejszenia, ale muszę spisać prokto... protokół. – Mundurowy odsunął talerz z niedojedzonym barszczem Aśki, kładąc notes na serwetce w mikołaje. – Widzę, że nie czcicie państwo wolnego miejsca przy stole. Miejsca zezwło... nieboszczki nie liczę. – Poklepał wolną dłonią siedzisko, drugą wertując plik kartek.

– Takie czasy, że nie ma, bo nawet nie powinno być. Zbłąkany wędrowiec byłby przecież szóstą osobą – przytomnie zauważyła Laura.

– Słusznie, słusznie – potwierdził policjant. – No dobrze, poproszę pana o rozw... dowód – zwrócił się do Emila.

– Tak, oczywiście, zaraz pójdę... – Emil poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

– Nie szukaj... Szymon. Przecież ja mam twój dowód, schowałem, jak wypadł ci podczas filetowania karpia – zapewnił szwagier, wyciągając z kieszeni dokument i kładąc go przed policjantem.

– A tak, jasne. – Emil zamaszycie pacnął się dłonią w czoło. – Dzięki, stary, że o tym pomyślałeś.

Tymczasem nieproszony gość z uwagą oglądał dokument rzekomego wdowca, bacznie studiując szczegóły fizjonomii Emila.

– Widzę, że zmienił pan... imagizm. Przyobleka pan kolorowy fryz. – W głosie mundurowego pobrzmiwała nutka rozbawienia.

Emil pobladł. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdyż ubiegł go Łukasz:

– Och, panie władzo. Może pan mu przemówi do rozsądku. Chłop niby mądry, po dwóch doktoratach, a jednak głupi. Bo kto to widział, żeby facet się tak stroił i farbował, jak nie przymierzając – ściszył konspiracyjnie głos – jakiś homoseksualista. Niech pan tylko na niego popatrzy, żonę co dopiero stracił, w czerni powinien chodzić, a tymczasem w ogóle nie ma poszanowania dla żadnych świętości. I jeszcze te jego włosy. Widział pan kiedy, żeby normalny człowiek tak wyglądał? Oj, Szymon, Szymon, a co mówił nasz niedoszły prezydent? Że facet może farbować włosy tylko, jeśli pracuje w telewizji albo cyrku.

Emil uznał, że wszelki komentarz jest zbędny, milczał więc, czekając, aż stróż prawa spisze dane. Miał wrażenie, że z piwnicznych czeluści dobiega słaby śmiech Aśki.

Gdy skończył, policjant usiłował dociec, kiedy i z jakiej przyczyny nastąpił zgon pani Joanny, na co Emil, barwnie i ze szczegółami, opowiedział o obja-

wach koronawirusa, oczekiwaniu na podłączenie do respiratora, a nawet problemach z pogrzebem, inspirację czerpiąc z wpisów w mediach społecznościowych. Co prawda historia pandemiczna spowodowała lawinę pytań o kontakty oraz kwarantannę, jednak Emilowi przy drobnej pomocy Łukasza i Laury udało się jakoś wybrnąć.

Gdy dopełniono wszelkich formalności, a Emil podrobił podpis Szymona, wszyscy liczyli na to, że mundurowy wreszcie sobie pójdzie, policjant jednak, ku ich zaskoczeniu, rozpiął mundur, spod którego wyzierał sweter z wizerunkiem renifera Rudolfa, poprosił, by zwracać się do niego per „Piotrek”, i nie pytając nikogo o pozwolenie, poszedł do kuchni odgrzewać pierogi z kapustą.

Szymon jęknął, Łukasz złapał się za głowę, Nina z Emilem wybuchnęli gromkim śmiechem, a Laure dosłownie zatkało. Tymczasem nieproszony gość podszedł do piwnicznych drzwi i zawołał:

– Aśka, możesz wypełznąć!

Zdezorientowana kobieta wyszła więc, zupełnie nie pojmując, co się dzieje.

Skręcając gaz, by pierogi zanadto się nie przypaliły, Piotrek westchnął głęboko.

– No dobra, koniec tych... kabaretek. Chyba pokapaliście się, że taki ze mnie policjant, jak z was płaczenicy. Czyli kompletnie do... No, nie pamiętam tego słowa. Tak w ogóle...

– Kim pan jest? – przerwała mu Aśka.

– Piotrek jestem. Znaczy, w sumie to nie, ale i tak byście nie wymówili. Zabawne z was ziemniak... ziomki. Umiem slang, co nie? No i sorki za zmyjkę z policjantem.

– Wiedziałem! – zakrzyknął Łukasz w uniesieniu. – Przecież gliniarze chodzą zawsze parami. No i podinspektora to by raczej na wieś zabiłą dechami nie wysłali. Poza tym, wybaczone, ale trochę dziwnie brzmi... Nawet powiedziałbym, że trochę bardzo.

– Wiem, poniosło mnie – przyznał Piotrek. – Niech zgadnę, chcecie wiedzieć, co jest śpiewane, nie? Facet udaje policjanta, pewnie złodziej. No, Nina, przecież wiem, co masz pod czuchą.

Nina skinęła jedynie głową, przywierając mocniej do ściany.

– Weźcie się i nie lękajcie. Nie chcę was okraść. Robiłem *research*. Prawda taka, że badam postawy ksenofobiczne wśród Ziemiaków.

– Co? – chrząknęła Laura, sądząc, że się przesłyszała.

– A, bo nie mówiłem. Kosmit jestem.

– Co?! – powtórzyła kobieta, a wraz z nią Aśka, Szymon, Emil, Nina i Łukasz.

Rozczarowany Piotrek skrzywił się.

– Zawsze to samo. Powiedz tu, człowiek, że jesteś kosmit, a oni... A, nie, dobra, nie „człowiek”. – W zamysleniu zmierzwił sobie włosy. – No, tak czy siak, kosmit jestem. Mogę wam pokazać, jak wyglądam naprawdę, ale spoko z was ludki, nie chcę, byście na zator szeźli. No więc... khe khe. – Fałszywy policjant odchrząknął, a stojąca obok niego Laura z obrzydzeniem się odsunęła. – Spoko, to nie covid. W gardle mi zaschło. Swoją łąką, co jak co, ale mogliście mi chociaż herbatę zaoponować. No, ale od rzeczy, od rzeczy... Choć w sumie te moje badania takie trochę od czapki. Jak ten ostatni muł wziąłem Polskę. A postmotor ostrzegął, że to bez sensu, wyniki wychodzą zawsze jednoznaczne...

– Chłopie, a czegoś ty się spodziewał? – wtrącił Łukasz. – Że cię tu chlebem i solą przywitają?

– No i właśnie przywitali. W sumie wszyscy poza, khe khe, waszą rodziną. Ale wiecie co? Strasznie to sztuczne było. Pletli coś o miłości bliznowego, że trzeba sobie pomagać w tych brudnych czasach, „gość w dom, Bóg w dom” i tak dalej. Nawet mi wałówkę na drogę zapakowali. Nie żebym się wyrzekął, matuli zawiozę. Nigdy nie była w Ziemi, to sobie pokosztuje. A wy, kurde, nic. Pewnie byście mnie szczurem poszczuli, gdybyście mieli. Ale wiecie, co jest w was najmilszego? Niby na co dzień nie potraficie się wygadać, a dzisiaj nie poćwiartowaliście się. Miałaś rację z tym cudem, Aśka.

Aśka zaczerwieniła się. Wyglądało na to, że kosmita czytał jej w myślach. Pewnie zresztą nie tylko jej.

– Dlatego będę miał was na uchu. I spróbujecie tylko nie przygotować na następną Wigilię dodatkowego garnka, to... to...

– To co, spuścisz na Ziemię atomówkę? – zażartował Łukasz.

– Ej, no wiesz co! Ja porządny kosmita jestem. Żadne tam *Marsjanie atakują*. Po prostu... ten... no. – Piotrek spuścił wzrok. – Niewesoło mi będzie. Swoją drogą, pycha te pierogi, Łukasz. No i patrzcie, jakiego arbuza strzelił. Tak czy indziej, na mnie już pora.

Tego wieczoru kosmita Piotrek nie opuścił jednak domu państwa Nowakowskich. Został do rana, a potem do następnego dnia i jeszcze kolejnego. Podobnie zresztą jak siostry Szymona oraz ich mężowie.

Gdy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia rodzinę odwiedzili prawdziwi policjanci, przybysz z gwiazd odczekał swoje w piwnicy z Emilem, który w międzyczasie został jego najlepszym kumplem. Dlaczego by nie?

Lewicowiec, który nie ominął nigdy żadnego marszu na rzecz imigrantów, miał wreszcie okazję skonfrontować się z prawdziwą obcością. Emil sporządził zatem listę najważniejszych książek, filmów i piosenek, uznał bowiem, że Piotrek brzmi, jakby polskiego uczył się na przemian ze słownika slangu oraz powieści *Wszystko czerwone*. Pomagał mu w tym zresztą Łukasz, który tylko raz jeden zdenerwował się, gdy podczas nauki kolędy obcy zapytał, z jakiej planety pochodził Jezus i ile miał głów, skoro próbują podłożyć mu „sianka pod główeczki”.

I choć Laura usiłowała nawrócić Piotrka na weganizm, w przeciwieństwie do Łukasza, który z kolei pragnął zaciągnąć go do kościoła, Nina przestrzegła przed niezdrową dietą, zaś Emil przed wyzyskiem pozaziemskich korporacji, kosmita wiedział, że za rok znowu do nich wróci. A wtedy już nie będzie nieproszonym gościem, lecz tęsknie wyczekiwanym cudem wigilijnej nocy.

Noty o Autorach

LECH BACZYŃSKI

Pisarz, programista, zainteresowany starożytnością i archeologią. Członek sekcji literackich Śląskiego Klubu Fantastyki oraz Krakowskiej Sieci Fantastyki.

Zwycięzca i wyróżniony w licznych konkursach na opowiadania kryminalne, fantastyczne i obyczajowe, w tym konkursach na: opowiadanie kryminalne Międzynarodowego Festiwalu Kryminału, opowiadanie kryminalne lub sensacyjne „Racibórz prozą zaczarowany”, opowiadanie „Ulice Szczecina”, opowiadanie historyczne portalu BookHunter, opowiadanie kryminalne IV konkursu literackiego „Słowotok”; a także: kafkowskiego konkursu na opowiadanie grozy „Magazynu Histeria”; VII Ogólnopolskiego Konkursu na Opowiadanie Fantasy im. Krystyny Kwiatkowskiej, IX edycji konkursu Płockiego Klubu Fantastyki na opowiadanie fantastyczne; dwukrotnie w konkursie portalu Sweek na opowiadanie, w konkursie literackim „Pisarze vs piłkarze”, w akcji społecznej Serce Kapsuły Czasu

(opowiadanie zamknięte w kapsule w formie papierowej i elektronicznej), w konkursie na pamiętniki „Zapiski z czasu dobrowolnej izolacji”.

Twórca limeryków, zwycięzca konkursu na limeryki „Na prawy brzeg” (Kraków, 2012 r.).

Opublikowane opowiadania:

Gdzie jest Franzi? – „Magazyn Histeria XXI” (elektroniczny)

Powrót do czarności (Reveno al nigra truo) – „Bjalistokaj kajeroj”, no 7 (druk, przetłumaczone też na esperanto)

Szara Masa oraz *Zamek w „Magicznej Osadzie”* – *Mikrohistorie* 2018 (druk)

Zbiornik magii, czyli koniec czarów – *Antologia Elgacon V* (2018) (druk)

Patterson – „Bjalistokaj kajeroj”, no 8 (druk, przetłumaczone też na esperanto)

Grzybek – album *Barbara Mróz. Bez meldunku* (druk)

98% – Magazyn literacko-kryminalny „Pocisk”, nr 25/26 (druk)

Wina nowego świata – antologia *Sny Umarłych 2019* (druk)

Srebrzysty algorytm – na portalu fantastyka.pl (elektronicznie) oraz na stronie autorskiej www.baczynski.com.

AGNIESZKA BAR

Urodziła się w 1993 roku w Krakowie. Fizjoterapeutka, w wolnym czasie pisze, fotografuje i podróżuje. Kocha sport, Harry’ego Pottera i dobre jedzenie. Od stycznia 2020 działa w Krakowskiej Sekcji Fantastyki pod czujnym okiem Pawła Majki.

PAWEŁ DYBAŁA

Ur. w 1981 r. w Ostrowie Wielkopolskim. Z wykształcenia filolog-japonista i językoznawca-informatyk. Ponad sześć lat spędził w japońskim Sapporo, ucząc sztuczną inteligencję trudnej sztuki opowiadania sucharów. Obecnie wykładowca w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od ponad szesnastu lat tłumaczy mangi dla wydawnictwa J.P.F.

Współautor ponad stu publikacji naukowych w językach polskim, angielskim i japońskim. Pisaniem „rozrywkowym” zajmuje się od czasów liceum, jednak dopiero od niedawna podchodzi do niego nieco poważniej. Jego opowiadanie *Dzień człowieka* w 2018 roku wygrało konkurs „Pióro Metatrona”, w tym samym roku tekst pt. *Zdrajca* zdobył drugą nagrodę w konkursie „Nadszaniec fantastyki”, w kolejnej edycji konkursu zwyciężyło zaś opowiadanie pt. *Grant*. Opowiadania *Gwiazdka* i *Słonko* zostały we wrześniu 2020 roku opublikowane w portalu kwartalnika „Przekrój”.

Od września 2019 r. działa w prowadzonej przez Pawła Majkę Sekcji literackiej Krakowskiej Sieci Fantastyki. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Autor wielu prelekcji konwentowych poświęconych tłumaczeniu oraz popkulturze Japonii.

W pisarstwie wykorzystuje swoje doświadczenie zawodowe – bohaterami jego tekstów są takie postaci, jak naukowcy i tłumacze, zaś znajomość rozlicznych języków i kultur przydaje się podczas tworzenia nowych ras i światów.

IZABELA GRABDA

Od ponad dwudziestu lat prowadzi własny biznes. Od dwóch szlifuje warsztat pisarski pod okiem Pawła Majki w Sekcji Literackiej Krakowskiego Klubu Fantastyki. W 2019 jej powieść *Przypadek Lidki* zajęła trzecie miejsce w konkursie „Miłość przez duże M” wydawnictwa Inanna. Ma na swoim wydawniczym koncie dwie powieści obyczajowe i opowiadanie w antologii. Opowiadanie kryminalne *Głos* ukazało się w magazynie kryminalno-literackim „Pocisk”. Na stronie autorskiej publikuje historyjki w klimacie urban fantasy. Niepoprawna miłośniczka dzikich jeży i dobrych gatunków kawy. Kocha spacerować z psem i zajęcia w Sekcji Literackiej. Pisze w kilku gatunkach, ponieważ nie lubi ograniczeń w literaturze.

KATARZYNA OPHELIA KOĆMA

Amerykanistka, lingwistka, literaturoznawczyni. Zawodowo zajmuje się redakcją językową i przekładem literackim. Pisze doktorat poświęcony fantastyce w *Jądrze ciemności* Josepha Conrada. Zafascynowana postmodernizmem i amerykańską kontrkulturą lat 60. Miłośniczka poezji, gąsienic, miejskich spacerów, jaskrawych kolorów, partyzanckiego teatru, czekolady i street artu. Jej ulubione gatunki literackie to bizarro, slipstream, weird fiction. Członkini Sekcji Literackiej KSF pod egidą Pawła Majki od początku jej powstania. Od pewnego czasu pracuje nad powieścią kontrkulturową *Pamiętajcie o Altamont!*.

PAWEŁ MAJKA

Urodzony w 1972 roku w Krakowie. Pisarz, autor jedenastu opublikowanych powieści fantastycznych (trzy z nich we współpracy z innymi autorami), trzykrotny laureat Nagrody im. Żuławskiego, kilkakrotnie nominowany do Nagrody im. Zajdla. Od prawie trzech lat współtworzy Sekcję Literacką KSF.

MONIKA NOWAK

Rocznik 1988, z wykształcenia socjolog. Od urodzenia mieszka i pracuje w Krakowie. Aktualnie pracuje, rysując i poprawiając P&IDs w krakowskim oddziale Air Liquide. W polskim fandomie jest znana pod pseudonimem Monivrian. Swoją przygodę z pisaniem zaczęła w gimnazjum od pisania fanfików do Harry'ego Pottera i *Władcy Pierścieni*. Najbardziej ukochała sobie gatunek high/heroic fantasy. Jej ulubionymi autorami są Andrzej Sapkowski, J.R.R Tolkien, Agnieszka Hałas, Joe Abercrombie, Steven Erikson i Małgorzata Lisińska. Miłośniczka power metalu w klimatach Rhapsody of Fire, Ancient Bards i Gloryhammera. Wolny czas spędza przy dobrych książkach, grach *World of Warcraft*, *Shadow of Mordor* i oczywiście – pisząc nowe historie. Jej kolejną pasją są świnki morskie, aktualnie opiekuje się dwoma. Od października 2019 roku członkini Sekcji Literackiej Krakowskiej Sieci Fantastyki prowadzonej przez Pawła Majkę. Opowiadanie *Wspomnienie szczęśliwych dni* jest jej pierwszą poważniejszą publikacją.

ANETA PAZDAN

Urodzona w 1991 r. w Krakowie. Miłośniczka klasycznej literatury grozy, kina wojennego, dawnych wierzeń i języka niemieckiego. Debiutowała w 2016 r. w antologii *Echo Zgasłego Świata*, publikowała w internetowych magazynach (m.in. „Histerii”), jej opowiadania zostały wyróżnione w konkursach „Nowej Fantastyki”. W swoich utworach łączy elementy grozy z weird fiction i aspektami socjologiczno-psychologicznymi. Od stycznia 2019 r. należy do Sekcji Literackiej Krakowskiej Sieci Fantastyki prowadzonej przez Pawła Majkę.

KRZYSZTOF REWIUK

Twórca średniego pokolenia i niewielkich form. Publikował m.in. w „Nowej Fantastyce”, „Silmarisie”, „Creatio Fantastica”, „Histerii”, antologiach Fantazmatów i Phantom Books. Nominowany do Nagrody Zajdła za 2019 rok. Interesuje się historią malarstwa i migotaniem przedsiionków. Nie pisze książki.

ARTUR SIWEK

Z wykształcenia fizyk, pracę rozpoczął w Instytucie Fizyki Jądrowej w Krakowie, doktorat z zakresu eksperymentalnej fizyki reakcji jądrowych uzyskał w Hahn-Meitner Institute w Berlinie. Autor licznych publikacji z zakresu fizyki jądrowej. Porzucił pracę czysto naukową na rzecz badań i rozwoju w przemyśle. Najpierw

w dziedzinie cienkich powłok, a następnie w zakresie szeroko rozumianej fizyki materiałowej. Współautor czterech międzynarodowych patentów.

Prywatnie pasjonat najszerzej rozumianej fantastyki, uwielbia chodzić po górach, jeździć na nartach i fotografować.

Pierwsze próby pisarskie podejmował już w szkole średniej, potem publikował krótkie formy literackie i artykuły popularnonaukowe w gazetkach studenckich. Do pisania powrócił dwa lata temu. Powoli szlifując warsztat, oczekuje na literacki debiut.

MICHAŁ SOSIŃSKI

Fascynat ścieżek, po których nikt nie chodzi. Miłośnik bukowych lasów, brutalizmu w architekturze i podejrzanych okolic. Najpierw słucha, potem pisze.

MICHAŁ TOMCZYK

Najmłodszy członek obecnego składu Sekcji Literackiej KSF. Zawodowo technik weterynarii oraz student Krakowskiego UR-u z zamiłowaniem do nauk biologicznych. Jego wędrówka literacka trwa już pięć lat, w ciągu których publikował teksty m.in. w magazynie „OkoLica Strachu” czy „Histerii” oraz był kilkakrotnie nagradzany w konkursach. Jak sam przyznaje, mrok i groza codzienności od zawsze były bliskie jego czarnemu sercu, choć jak dotąd nie znaleziono dowodu na istnienie u niego wspomnianego elementu bijącego.

CARMEN WIDOMSKA

Miłośniczka kotów zarówno prywatnie, jak i zawodowo. Pisze w wolnym czasie, odkąd pamięta. W ramach treningu tworzy zarówno po polsku, jak i po angielsku. Intensywnie uprawia górskie wycieczki. Aktualnie zainteresowana schyłkowym okresem carskiej Rosji i bolszewikami. Melomanka, odkrywa na nowo dzieła szeroko pojętej sztuki rosyjskiej. Ulubiona gra to *Mafia*. Ceni także dobrą mangę. Rocznik Okrągłego Stołu.

MAREK WYGNANY

Opuszczony przez Potwora prorok, bezkształtny ziemiak kanapowy, wypycha szuflady hadisami, które niechybnie zostaną wydane po jego śmierci. Postuje czasem na Minora Fanfica, jeśli tylko czuje, że znajdzie publikę albo coś przykuje jego uwagę. Podobno można go przyzwać, wpisując trzykrotnie „postmodernistyczny neomarksizm” w oknie wyszukiwarki YT.

EWA ZWOLIŃSKA

Urodzona w mieście Jacka Dukaja, obecnie mieszka i działa w mieście Łukasza Orbitowskiego. Pisze wiersze, prozę i publicystykę, skleja kolaże. Z Sekcją Literacką KSF związana od grudnia 2019 roku (to jej najtrwalszy dotychczasowy związek). Motto życiowe: *Dajcie mi deadline, a coś napiszę.*

*Wyszarpana z demonich łap, przeczolągana przez
światy ludziom nieznanne, wydobyta z mroków
strachu i odmętów wyobraźni. Złapana mocno
przez Wydawnictwo IX i oddana w Wasze ręce,
księga Sekcji Literackiej Krakowskiego Klubu
Fantastyki. Świętologia, jakiej nigdy nie
spotkaliście i nigdy już nie spotkacie!*

ISBN 978-83-960071-4-8



Darmowy ebook